odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 11. II. 62 r.

Nr 6 (206) Cena 1 zł

TADEUSZ PAPIER

MARIA i EKSPERYMENT

Czy mnie zmuszano do wyjawienia prawdy? Nie, proszę pana nie zmuszano. Fakt, ja ukradłam te pieniądze. To były społeczne pieniądze. To znaczy klasowe, koleżanek i kolegów. Składki, ja je zbierałam. Ja te pieniądze, niech pan pisze, przepuściłam. Na ciastka, kawę, czekoladę. Nie, nic sobie za to nie kupiłam. Żadnej rzeczy. Czy było dużo tych pieniędzy? To nie ma teraz znaczenia. Chociaż, jak na moją kieszeń to bardzo dużo. Na kieszeń uczennicy, oczywiście. Więc nie mogłam zdać kasy, bo pieniędzy nie miałam. Powiedziałam na zebraniu, że mi w tramwaju ukradli. Koleżanki mi uwierzyły. Ale nauczyciel nie był przekonany. Nie wiem dlaczego. Czy dlatego, że starszy zawsze pozna, kiedy młody kłamie? Nie wiem. Więc ten nauczyciel zadał pytanie: „Czy nie masz odwagi przyznać się do kradzieży?" Słowo daję tak powiedział. Niektórzy mieli mu to za złe. A ja powtórzyłam swoje, że mi ukradziono. Nawet łzy miałam w oczach. No pewnie, takie przejście. Ciekawam kto by nie płakał? Na mojej odpowiedzi sprawę zakończono. Zaprotokółowano w ten sposób: „zeznała, że pieniądze jej ukradli w tramwaju." Nie, nie pokryłam, bo skąd? Wie pan, gdyby mi w dalszym ciągu wmawiano, że ukradłem nie przyznałabym się nigdy. Ale w końcu i nauczyciel się wycofał. Jeżeli Maria powiada, że ją okradziono, to nie mamy powodów, żeby jej nie wierzyć". No, i oczywiście nastąpiło coś w rodzaju przeprosin. Nie, wtedy nie odczuwałam skruchy. Natomiast gorszy był następny dzień. I jeszcze następny. Zaufanie koleżanek było najgorsze. To właśnie zaufanie izolowało mnie od klasy. Dziwne, prawda? Nikt nie wracał już do tego tematu. Ani słowem nie dano mi poznać, że ktokolwiek ma do mnie żal. Nie uwierzy pan, czułam się coraz gorzej. Pomiędzy mną, a resztą koleżanek wyrastał mur. To ja sama ten mur wznosiłam. Nic na to nie mogłam poradzić, chodziłam jak struta. „Co ci jest, Maria", pytano. Wreszcie nie wytrzymałam. Na następnym zebraniu powiedziałam: ja ukradłam. Ile mam lat? Siedemnaście. Dużo, prawda?

Czy to był jeden wypadek w naszej szkole? Właśnie, że nie pierwszy. I nie ostatni. Mogę jeszcze opowiedzieć,

Dalszy ciąg na str. 5

Wycieczka do Trójmiasta

ZBIGNIEW NIENACKI

KONIEC WOJNY DOMOWEJ

Zdarzenia, których areną stała się Polska w latach 1945—1948, mają prawie wszystkie cechy wojny domowej. Była ta wojna zjawiskiem szczególnie złożonym, ponieważ oprócz antysocjalistycznego podziemia, wystąpiła także jako przeciwnik władzy ludowej, Ukraińska Powstańcza Armia i resztki rozgromionych pohitlerowskich organizacji. Walka o władzę ludową stała się więc nie tylko obroną określonych racji politycznych i interesów ludu pracującego, lecz także obroną interesów ogólnonarodowych, samodzielnego bytu narodowego i polskiej racji stanu. Tak, przypuszczam, oceni to kiedyś historia. Ta historia, która jeszcze nie została napisana.

Lenin uczył, że nie można zdobyć i utrzymać władzy, jeśli się nie ma partii i programu dla tej partii. To wielkie uogólnienie tyczy oczywiście nie tylko klasy robotniczej, ale każdej współczesnej klasy.

W roku 1944 „władza leżała w Polsce na ulicy". Komuniści wespół z postępowymi ugrupowaniami mogli podjąć władzę ponieważ mieli partię i posiadali program, który zakładał szerokie reformy społeczne i sojusz ze Związkiem Radzieckim. Ponieważ mieli partię i stanowiła ona siłę kierowniczą — zdolni byli władzę utrzymać mimo ataków podziemia.

Podziemie zaś z góry było skazane na klęskę nie tylko dlatego, że stanęło w poprzek interesom mas pracujących i interesom ogólnonarodowym, ale także dlatego, że nie miało swej partii i swego programu. Nie mogło zaś mieć takiego programu ponieważ pozostawało zupełnie sklócone i niezdolne do sprecyzowania swych koncepcji, ograniczając się jedynie do hasła walki z komunizmem.

Tak w każdym razie było z podziemiem, które istniało i działało na naszym terenie. Podziemie w Łódzkiem lękało się nawet określić swój stosunek do takich zjawisk jak reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu, zagadnienia Ziem Odzyskanych, a więc spraw niezwykle żywotnych dla całego narodu. W ulotkach tzw. Konspiracyjnego Wojska Polskiego można było czytać jedynie o „Apelach Czasu", „Wierności Idei" i tym podobnych frazesach pisanych z wielkiej litery. Pojęcia tego rodzaju oczywiście absolutnie nic nie mówiły ludziom w Polsce, nawet jeśli tu i ówdzie wpadły komu w ręce podobne ulotki. Jeśli zestawić to z konkretnym i niezwykle atrakcyjnym programem PPR, programem władzy ludowej — reformą rolną, nacjonalizacją przemysłu programem zagospodarowania Ziem Zachodnich planem trzyletnim — jasnym się staje, że o zwycięstwie nad podziemiem zadecydowała nie tylko militarna przewaga sił postępowych, ale także racje polityczne i społeczne, które były po stronie władzy ludowej.

To właśnie podziemie musiało pierwsze wyciągnąć pistolety do walki, ponieważ brakowało mu racji rozumowych i uczuciowych. Pistolet i kule są bowiem zawsze tym „argumentem", którego używa się, gdy nie ma żadnych innych.

* * *

Wojna domowa na Ziemi Łódzkiej rozpoczęła się latem 1945 roku, kulminacyjny i najbardziej gorący jej okres przypadł na lato 1946 roku. Jest sprawą dość ciekawą, że okres zaraz po Wyzwoleniu i prawie cała wiosna 1945 roku przebiegały stosunkowo spokojnie. Względnie spokojnie przeprowadzono w tym czasie reformę rolną. Podziemie nieśmiało i tylko sporadycznie występowało przeciw ekipom rozdzielającym wśród biedoty ziemię obszarniczą.

Ten fakt zdawał się sugerować niektórym, jakoby podziemie — to „warszycowe" podziemie, z którym mieliśmy do czynienia na naszym terenie — wyrażało niemą aprobatę dla reformy rolnej. Tymczasem przyczyny były zupełnie odmienne. Wyjaśnienie tej sprawy wydaje się o tyle ważne, że do dziś jeszcze tu i ówdzie pokutuje przekonanie, iż podziemie zostało sprowokowane do walki, bo przecież z początku rzekomo nie występowało zbrojnie przeciw władzy ludowej.

Prawda zaś wygląda nieco inaczej. Po prostu — błyskawiczny manewr Armii Czerwonej i Wojska Polskiego zaskoczył przywódców ugrupowań podziemnych, takich właśnie jak podległe „Warszycowi" AK w okręgu łódzkim i częstochowskim. Nie mieli oni żadnych instrukcji czy poleceń jak postępować w zmienionych warunkach. Narodziła się nowa Polska i wielu ludzi należących do AK, którym dowodził „Warszyc", natychmiast skończyło z konspiracją i przystąpiło do współpracy z władzą ludową, sporo ludzi z byłej AK wcielono do Wojska Polskiego. Pierwsze miesiące po Wyzwoleniu były także okresem ogromnej migracji ludności, musiało sporo czasu upłynąć zanim zdecydowani walczyć z władzą ludową zdołali się skrzyknąć na nowo, nawiązać zerwane kontakty, stwierdzić, kto zostanie przy nich, kto stanie przeciw, kto rezygnuje. Armia Czerwona okrążyła Berlin — reakcja w kraju i za granicą liczyła, że zetknięcie się Armii Czerwonej z jej zachodnimi sojusznikami doprowadzi do nowego konfliktu zbrojnego, a wówczas automatycznie rozwiązania zostanie i „sprawa Polski".

Zasadniczą więc przyczyną, dla której przebieg reformy rolnej na naszym terenie nie był krwawy, leżała w słabości podziemia, a nie w jej sympatiach dla biedoty chłopskiej. Leżała także w obawie przeciwstawienia się odwiecznym tęsknotom chłopskim do własnego kawałka ziemi.

Wprawdzie w tajnym archiwum „Warszyca" nie znajdujemy żadnego polecenia karania tych, co przy-

Dokończenie na str. 6

Drogi Redaktorze!

Nie ma dymu bez ognia, tak, jak nie ma karnawału bez tańca.

A że karnawał mamy właśnie teraz, posyłam Panu wybór utworów poetyckich, poświęconych i karnawałowi i tańcom.

Tę nieco dziwną mieszankę nazwałem „Karnawałczykiem" w nadziei, że zainteresuje bądź też zabawi wszystkich czytelników, a więc nawet i tych, którzy nie tańczą.

A teraz kilka słów o tańcu: taniec jest jak kobieta — ciągle zmienny. Nic więc dziwnego, że po starych tańcach polskich, takich, jak: cenar, galarda, goniony, hajduk, kolomyjka, drobuszka, gniotek, gniewus, lipka, wyrwaniec, padwan, pasamer, kapreola, bergamaszka, hołubiec, koło, stryjanka, okrągły, czy też drobny, zostały tylko nazwy.

A swoją drogą, zwłaszcza przy okazji „Milenium", należałoby wspomnieć, że zamiłowanie do tańców od najdawniejszych czasów było charakterystyczną cechą ludów słowiańskich.

Długosz wspomina na przykład o tym, że już Popiel zajmował się urządzaniem ciągłych hulanek i tańców. Mimo woli nasuwa się tu pytanie, czy też sławne „myszy Popiela" nie były czasami „białymi myszkami". W wieku XVI, a więc trochę później, modne były tańce z nazwami cudzoziemskimi, jak na przykład: Firlej i Rej, które dały początek nazwiskom rodowym Firlejów i Rejów. Skoro już jesteśmy przy Reju, godzi się wspomnieć, że i jego luźni sprawy tańca nie były obce, czemu dał wyraz choćby w tym czterowierszu:

Albo owo wesele, kiedy się
po kąciech
Tłuczecie, wyskakując by
szkapy w chomąciech,
Nazajutrz chłop narzeka, co go
bolą boki,
Namierzły mu podobno
onegdajsze skoki.

Mistrz Jan z Czarnolasu, w pieśni sobótkowej, tak każe śpiewać młodej dziewczynie:

To moja największa wada,
Że tańcuję bardzo rada.
Wiedzcież mi, me sąsiady,
Jest tu która bez tej wady?

Dalszy ciąg na str. 9

W Łodzi to nie uchodzi

Próba wody

Zasiedliśmy do obiadu w milczeniu. Czułem , że w atmosferze wisi coś niedobrego. Żeby jakoś sytuację wyjaśnić, zagadnąłem Anielcię, czy dostała cytryny w Delikatesach. Odpowiedziała, że nie, ale jakoś tak obojętnie, bez normalnego psioczenia i bez żadnych komentarzy.

— O, niedobrze! — myślę. Zaczyna mnie to wszystko denerwować. Zapytuję Pawła, jak tam w szkole. Coś bąknął niewyraźnie i wsadził nos w talerz.

— Nie, ta cisza zaczyna mnie niepokoić. Coś w tym jest, ale co? Przygotowuję się na najgorsze.

— Okradli cię w sklepie? — pytam Anielkę.

— Nie, dlaczego by mnie mieli okraść?

— Tak tylko mówię... Jesteś jakaś zwarzona..

Milczenie.

O, to już zupełnie źle!

— Co jest do jasnej — ciasnej, gadajcie mi tu, co się stało?

Matka spogląda na Pawła, Paweł na matkę, potem oboje na mnie. I nic. Nie, taki spokój w domu, każdego może z równowagi wyprowadzić. Nie zdzierżyłem: Jak nie hulnę na nich z góry (jak nigdy jeszcze: uległość przeciwnika dodaje animuszu)

— Będziecie nareszcie gadać, czy nie? No, jak?!?

Wreszcie Anielka:

— Pawła wyrzucili ze szkoły.

— Dlaczego?

— Bo był bez tarczy.

Początkowo nie zorientowałem się, o co chodzi.

W pierwszej chwili nie wiedzieć skąd przyleciały jakieś skojarzenia z lekcji historii, z wojny grecko-perskiej. Wiecie, ta matka — Spartanka wręczająca synowi (czy zięciowi) tarczę ze słowami: Z nią — lub na niej"..!

Tarcza, rzeczywiście rzecz ważna, symbol, można powiedzieć... Tfu, ale tu nie o taką tarczę przecież chodzi, tylko o tę małą, zwyczajną, na rękawie.

— Masz jutro iść z nim do szkoły!

Jeszcze nie wszystko pojąłem.

— Ja też z tarczą?

— Żarty ci się trzymają. A tu sprawa poważa.

— Ale dlaczego ja? Niech sam idzie z tą tarczą!

— Bo on już trzeci raz nie miał tarczy. Dzisiaj go nie wpuścili do szkoły.

— A dlaczego nie miałeś tarczy?

— Bo mi wczoraj odpruli w szatni.

— Aha. To nie mogłaś mu dać tych parę złotych, żeby sobie kupił?

— Dałam mu, ale jak miał kupić, kiedy go nie wpuścili do budynku.

— A to poza szkołą nie można jej kupić?

— Nie!

— No, tak. Ale po co ja tam mam iść?

— Mówiłam ci przecież, bo to już trzeci raz.

— No, dobrze. To przez tę głupią tarczę tyle ambarasu! Widzisz, Paweł, co ty wyrabiasz? Opuściłeś cały dzień w szkole, ja muszę zwolnić się z pracy....

— Ale, tato, przecież to nie ja...

— Co „nie ja"? Może ja, albo matka?

— Feluś, nie unoś się! Wiesz, że ci to szkodzi. Trudno, widać takie są zarządzenia.

— No, tak. Zarządzenia trzeba szanować. Ale... Paweł, wyjdź i rób lekcje!

Ostatecznie Anielka, jak to Anielka, jakoś mnie udobruchała. Obiecałem, że pójdę nazajutrz z Pawłem do szkoły.

Rano, następnego dnia, najpierw zadzwoniłem do zakładu, że przyjdę później, bo jestem wezwany do szkoły.

Ubraliśmy się z Pawłem i wychodzimy. Paweł z gołą głową.

— Paweł, a gdzie czapka?

— W teczce.

Coś ty? Na dworze chłodno, nawet z lekka śnieg prószy, ten z gołą głową, a czapka w teczce. Włóż czapkę.

— Tata, coś ty? Kto w takiej czapce chodzi? Chcesz żeby cała klasa ze mnie się nabijała?

Zamilkłem. Co za czasy! dawniej młodzież szła do szkoły inaczej, proszę pana! Szczaniecka — na bereciku trójkąt, paseczki złote i czerwone, Miklaszewska — koniczynka i trzy literki w listkach „S", „H" i „M" (co niezbyt mocni w ortografii sztubacy, tłumaczyli „Gimnazjum Hciwe Mężczyzn", „Kultura": jak reklama „Radion sam pierze" — na berecie słońce z promieniami, „Orzeszkowa" w aksamitnych czapkach, hej wspomnienia, wspomnienia... Pierwszy walc, pierwsza miłość... A szkoły męskie... „Zimowski" i „Kopernik" w rondlach, „Piłsudski" w szarych maciejówkach...

A teraz?

Nawet studenci — kiedyś w czapkach „Bratniaka" lub w „Korporantach"... A teraz? Chyba na inauguracji roku poczet sztandarowy w czapkach ujrzysz. Podobno w rektoracie jest w szafie kilka czapek, które się na wielkie jubile „reprezentantom" wypożycza za pokwitowaniem. Prawda, taki sztubak na Chojnach czy Widzewie to był rodzynek, wybraniec bogów, więc paradował w szynelu z błyszczącymi guzikami, by głosić wszem wobec przynależność swoją do określonej grupy społecznej. A dziś! Spospolitowała się ta szkoła średnia, przyjmuje wszystkich absolwentów podstawówki. Nawet niektóre wydziały szkół wyższych dobrze się muszą napocić by namówić maturzystów... Co za czasy?! Ale oto jesteśmy przed szkołą. A tu jakiś tumult. Ciżba rozwrzeszczanych, rozbieganych dziewcząt i chłopców, kilkanaście niesamowicie poddenerwowanych matek i ojców. Jakieś nawoływanie, krzyki. — Coś się stało — myślę — może się pali, albo jakiś inny nieszczęśliwy wypadek. Wypatruję czy zza rogu ulicy nie ukaże się straż pożarna lub wóz pogotowia ratunkowego.

Rzecz się wkrótce wyjaśnia. Nic z tych rzeczy. Po prostu — w szkole sprawdzają berety, czapki i tarcze. Teraz dostrzegam, jak dziewczęta wyciągają z teczek wymiętoszone berety, które jakkolwiek umieszczają na czubku głowy, byle nie „podpaść". (ściągnąwszy oczywiście, uprzednio zakazane chusteczki). Chłopcy również wyjmują z teczek zmięte czapki, kładą je na głowy albo nawet trzymają w garści okazując je „pilnowaczom" z Samorządu.

Ruch wielki, bo jeżeli na klasę jest tylko kilka czapek lub beretów... Co chwila z otwartych okien z I lub II piętra, wylatywała czapka lub beret, przechwytywane natychmiast przez niecierpliwą parę rąk, by za kilka minut znów sfrunąć z okna w dół. W gmachu szkolnym dyrektor i nauczyciele zaaferowani w najwyższym stopniu wynikami „kontroli". Tym bardziej, że, jak się okazało, przed chwilą banda „bezczapkowców" czy „beztarczyków" zmyliwszy czujność „straży", wtargnęła od strony boiska oknem na parterze do wnętrza przybytku oświaty. Helos! Podważyli w ten sposób skuteczność tak misternie nastawionych sieci. Do tego wszystkiego gdzieś w pracowni chemicznej kilka uczennic przechodzi próbę wody. Nie żeby były posądzone o czary. Skądże? Wiek XX przecież jak by nie było. Chodzi tylko o drobiazg, czy te falujące włoski to rzecz naturalna czy też (o zgrozo) skutki fryzjerskiego zabiegu? Za chwilę rzecz się wyświetli.

Żal mi się zrobiło kochanych, czcigodnych pedagogów naszych. Czego to oni nie mają na głowie: politechnizacja, budzenie zainteresowań nauką, techniką i sztuką, troska o kulturę fizyczną i sprawa uświadamiania w porę i właściwie, rozwijanie osobowości i kształtowanie naukowego światopoglądu, przygotowanie do tzw. życia i organizowania różnorodnych imprez i akcji, współpraca z Komitetem Rodzicielskim i Opiekuńczym, troska o harcerstwo, ZMS, Samorząd, akademie ku czci i ustawiczne doskonalenie się we wszelkich możliwych dziedzinach, a tu cały ten ogromny plan wielokierunkowej pracy Ciała Pedagogicznego wywraca do góry nogami Problem Tarczy, Problem Beretów, Problem Czapek, Problem Ondulacji.

Żal mi się zrobiło Czcigodnych Pedagogów Naszych, zamęt, piekielny mętlik: wspomnienia dawnych czasów poszanowania Czapek, Beretów, Błyszczących Guzików, Mundurów, te obecne — tak powszechnie zmięt oszone i lekceważone czapki i berety, udręczeni pedagodzy, migająca się od tego wszystkiego młodzież.

„I nic nie wiem i nic nie rozumiem." Czy żądać — Milicyjnego Nakazu Noszenia Przez Młodzież Czego Należy, czy — aby MHD Odzieżą otworzył przy każdej szkole średniej wypożyczal nie czapek i beretów? Co tu robić?

Wysoka Instancjo od Szkolnych Ubiorów, pomóż mi wyjść z tej rozterki! Ratuj!

Ojciec Wirgiliusz

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

doc. dr KAROLEM KOTŁOWSKIM

kier. Katedry Pedagogiki U. Ł.

O problemach współczesnego wychowania

— Jak dawno istnieje pedagogika?

— Tak dawno jak ludzkość. Przecież już w epoce lodowcowej wychowywano...

— Ale ja miałam na myśli pedagogikę, jako naukę...

— Należałoby chyba zacząć od XIX wieku, od J. F. Herbarta, który pierwszy usiłował pedagogikę oprzeć na naukowych podstawach, na psychologii i etyce. Interesuje nas głównie współczesność. Przeskoczmy może jednak i epokę lodowcową, i nawet wiek XIX.

— O ile sobie przypominam istniał w pierwszych latach po wojnie Wydział Pedagogiczny na Uniwersytecie Łódzkim. Był to zapewne „zło ty wiek" łódzkiej pedagogiki?

— O, tak. Łódź była wówczas poważnym ośrodkiem naukowym w tej dyscyplinie. Tu wykładali naukowcy takiej miary jak prof. dr Nawrocz yński, prof. dr Hessen, prof. dr Suchodolski. W tych latach Łódź była kuźnią kadr naukowych w dziedzinie pedagogiki. Po dziś dzień na Uniwersytecie Warszawskim pracują wychowankowie łódzkiej katedry pedagogiki.

— Jaki jest obecnie dorobek naukowy katedry?

— Katedra pedagogiki pełni następujące funkcje: kształci magistrów pedagogiki na pięcioletnim studium magisterskim, pedagogizuje tzw. nauczycielskie kierunki studiów, a więc fizykę, matematykę, chemię, filologię, geografię i biologię, poza tym obsługuje studia zaocznie zorganizowane przy Uniwersytecie oraz prowadzi pracę naukową.

W tej ostatniej dziedzinie dorobiliśmy się już dość licznych prac naukowych publikowanych w czasopismach naukowych, albo wydanych osobno. Można by tu wymienić również i moje własne prace jak „Angielska szkoła po drugiej wojnie światowej", „Z socjologii pedagogicznej Durkheima" umieszczone w VII tomie Studiów Pedagogicznych, jak ostatnio wydane „Szkolnictwo polskie w ZSRR" doc. dr R. Polnego i wiele jeszcze innych.

— Kiedy pierwsza kadra magistrów pedagogiki opuści łódzką uczelnię?

— Na studiach magisterskich mamy obecnie około 60 słuchaczy, prócz nich 400 studentów z tych działów nauki, o których już wspomniałem. Zaś za dwa lata pierwsi magistrowie z naszej katedry wyruszą w świat.

— A jak sobie radzicie, to znaczy, czy dajecie przyszłym nauczycielom szkół średnich wystarczający zasób wiedzy pedagogicznej potrzebny nauczycielowi?

— Nie. Myśli się właśnie nad zreformowaniem tych studiów.

— Ale przecież nie dość głębokie wykształcenie pedagogiczne może stać się przyczyną błędów wychowawczych, a na pewno jest powodem niemałych trudności w wykonywaniu zawodu nauczycielskiego?

— Najprawdopodobniej. Na czwartym roku studiów tzw. nauczycielskich sporo godzin przewidziane jest co prawda na nauczanie metodyki wybranego przedmiotu, jest to jednak zagadnienie raczej z dziedziny wychowania.

— Jeżeli tyle braków wykazuje wykształcenie pedagogiczne na wydziałach uniwersyteckich to cóż dopiero mówić o różnego rodzaju pedagogicznych uczelniach niższego typu. Np. Studium Nauczycielskie, w którym wykłada duża liczba ludzi bez odpowiedniego wykształcenia. Jak podało ostatnio „Życie Warszawy" w woj. gdańskim w tamtejszych studiach nauczycielskich pracuje tylko dwóch wykładowców ze stopniem doktora i aż 25,7 proc. wykładowców nie posiadających normalnych kwalifikacji do nauczania w szkole średniej. W Łodzi też nie jest najlepiej. Czy to nie zatrważające zjawisko?

— Tak. Trudności kadrowe są w tej dziedzinie olbrzymie.

— Czy więc ów niedostatek wiedzy pedagogicznej nie jest choć w części przyczyną nie zawsze właściwie układających się stosunków między młodzieżą a nauczycielem?

— Chciałbym panią przestrzec przed zbyt pochopnymi wnioskami. Trzeba przecież pamiętać, że młodzież współczesna żyje jakby na zakręcie historii. Dawne wartości ulegają zdeprecjonowaniu, nowe zaś nie ze wszystkim jeszcze, nie dość trwale zostały zaakceptowane przez społeczeństwo. To powoduje pewne rozprzężenie w tych stosunkach między szkołą a uczniem, które jednakże nie jest tak wielkie jak to podaje prasa.

— Czyżby Pan Profesor uważał, że publiczna dyskusja wokół problemów pedagogicznych jest niepotrzebna lub szkodliwa?

— Nie, uważam natomiast, że nie wolno dochodzić do uogólnień na podstawie zbyt małej ilości faktów, tak jak nieraz to czynią niektórzy publicyści. Czy Pani sądzi, że np. przed wojną dziewczęta szkół średnich nie zachodziły w ciążę, tylko wtedy o tym tak szeroko nie rozprawiano. Stąd mylne wyobrażenie o dzisiejszej obyczajowości, moralności, postawie młodzieży itp.

— Jak kształtuje się typ dzisiejszego studenta pedagogiki?

— W pierwszym roku istnienia kierunku magisterskiego rekrutacja była raczej przypadkowa. Przyszli do nas przeważnie ci, którzy nie dostali się na inne wydziały. Ale już następny rok akademicki sprowadził do uczelni zupełnie inny element. Byli to w głównej mierze absolwenci liceów pedagogicznych a więc ludzie, którzy przy wyborze studiów kierowali się już zamiłowaniem. Uważam, tę młodzież za bardzo wartościową.

— Mimo jej praktycyzmu w traktowaniu zawodu nauczycielskiego, z czym się zresztą nie kryje?

— Nie uważam, aby ten praktycyzm, jak to Pani nazwała, kolidował z etyką czy wiedzą zawodową przyszłych nauczycieli. Bo o co właściwie chodzi? Że młodzież chce się jakoś w życiu urządzić, że nie marzy w masie o pomnikach? Tę właśnie postawę wyznaczają nowe warunki życia, zaś biegu historii nie powstrzymamy, ani nie zawrócimy.

— Nie przypuszczałam, że jest Pan aż tak młody, Panie Profesorze...

— Dziękuję za komplement. Mam już jednak za sobą 30 lat pracy pedagogicznej. Na Uniwersytecie Łódzkim pracuję od 1947 roku. Tu doktoryzowałem się, tutaj też zostałem docentem. Jestem więc, jak Pani widzi, dość zaawansowany w tej młodości.

— Muszę się wytłumaczyć. Nie miałam zamiaru sugerować jakichś nieprzychylnych młodzieży sądów. Mimo to trudno mi nie wtrącić kilku faktów oświetlających nieco inaczej ten właśnie praktycyzm życiowy naszej młodzieży. Mam na myśli statystykę przestępstw młodocianych, których pobudką jest najczęściej chęć życia najmniejszym kosztem.

— Bierze Pani skutek za przyczynę. Przyczyn rozluźnienia obyczajów, moralności wśród pewnej części młodzieży należy szukać w specyfice dzisiejszego życia, bardzo pospiesznego, w oszałamiającym rozwoju techniki, w strukturze rodzinno-społecznej, w ekonomice naszego życia. Brak dostatecznej opieki domowej, brak w ogóle jakiejkolwiek dyscypliny społecznej sprawiającej, że książki, gazety, telewizja, radio — wszystko to bez żadnej selekcji staje się dostępne dla młodzieży. W tej sytuacji skutki nie mogą być inne.

— Samym jednak przykręceniem śruby nie można oddziaływać na moralność społeczeństwa. Przekonaliśmy się chyba o tym nieraz w przeszłości...

— Nie może być w tej dziedzinie skrajności. Zbyt surowa dyscyplina prowadzi do załamania osobowości człowieka i wychowuje hipokrytów. Ale również i anarchia kończy się klęską. Do wolności bowiem trzeba człowieka przygotować. Wolność przecież jest rezultatem wychowania, a nie środkiem. Kiedy więc dziecku pozwalamy na wszystko to wtedy dochodzi ono do ekscesów. Słusznie powiedział Makarenko, że „bezkarność wychowuje chuliganerię". Nie można poza tym pracę wychowawczą organizować licząc na wybitnych geniuszów pedagogicznych, ale właśnie na przeciętnego wychowawcę.

— Jakie cechy powinien mieć ten właśnie przeciętny tzn. ten którego możemy oczekiwać, wychowawca?

— Jest to człowiek, który także chce mieć czas dla siebie. W świetle zaś wymogów pedagogiki oficjalnej musi posiadać wiedzę rzeczową, pedagogiczną i dydaktyczną. Musi być przy tym bogatą osobowością. Tego się wymaga od nauczyciela-wychowawcy. Są to jednak sformułowania ogólne. Często nauczyciel, który nie wykazuje tych wszystkich cech jest świetnym i lubianym wychowawcą.

— Można więc mówić o talencie pedagogicznym?

— Na pewno talent tego rodzaju istnieje. Takim talentem był Janusz Korczak, wielkiej miary psycholog, nieprzeciętny umysł i wielki humanista.

— Czy czasy współczesne wypracują typ idealnego nauczyciela wychowawcy, może zaraz nie na miarę Korczaka, ale o równie pięknych cechach, jak te, które on posiadał?

— Ba, gdyby życie organizowało się pod kątem widzenia ideałów pedagogiki być może efekty naszej pracy byłyby lepsze i łatwiej osiągalne. Rzecz jednak w tym, że w konkretnych warunkach społeczeństwo musi osiągnąć także i inne cele.

Trudność pogłębia fakt zmienności nie tylko warunków wychowawczych, lecz także i przedmiotu wychowania czyli dziecka, ponieważ pomiędzy zewnętrznymi warunkami wychowania i osobowością zachodzi wzajemny dialektyczny związek. Miejmy nadzieję, że nowa reforma szkolna pomoże wychowawcom w ich odpowiedzialnej pracy.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

KRYSTYNA KASZYŃSKA

Film w Jugosławii

Rokrocznie w pulskim amfiteatrze nad Adriatykiem odbywają się festiwale filmu jugosłowiańskiego. W tym roku festiwal w Puli był dla Jugosławii znamienny nie tylko, ze względu na obfitość pokazanych na nim filmów (największa produkcja roczna w ciągu piętnastolecia) ale także na fakt podjęcia nowych, dotychczas obcych jugosławiańskiej kinematografii treści tematyki współczesnej. Spośród szesnastu wybranych na festiwal filmów, tylko trzy opiewały temat wojny.

Do filmu jugosłowiańskiego, dopiero teraz przeniknęły elementy współczesności, dzięki wysiłkowi twórców, którzy ukazali w swych dziełach dzisiejszego człowieka Jugosławii, w nowym często dla niego środowisku miejskim i na tle problemów związanych z życiem w mieście. („Wzburzone miasto"). Bohater tych filmów jest cząstką pewnej drobnomieszczańskiej przeciętności z typowymi jej wadami i walorami („Kawałek błękitnego nieba"), lub też aktywnym bojownikiem nowej władzy, lub człowiek, którego życie prywatne ściśle związane jest z życiem publicznym („Pierwszy obywatel małego miasteczka"). Inni przy pomocy abstrakcji wydzielili życie emocjonalne swoich bohaterów ukazując je na tle niektórych tylko problemów współczesnego życia („Taniec na deszczu", „Ich dwoje", „Nocna wycieczka"). Inni ukazują swoich jako rozczarowane pozytywne jednostki, borykające się z lepszym lub gorszym skutkiem, z przejawami powojennej biurokracji czy też przeciwstawiające się bezwładowi i niemoralności środowiska. (Sziba we „Wzburzonym mieście" i Alesz w „Festynie"), lub jako byłych napiętnowanych („Dzień czternasty") w nowych warunkach dzisiejszych dni, czy też jako najzwyklejszych mieszczan zafascynowanych problemem urządzania własnego mieszkania („Marcin w obłokach", „Szczęścia nie tykaj", „Spokojne lato"). Nigdy jeszcze dotąd nie portretowany tak w filmie jugosławiańskim jego bohater, wypadł jako niezgrabne i niewidoczne indywiduum i na razie trudno mówić o wyraźnym typie osobowości będącej odbiciem współczesnych warunków życia w Jugosławii. Fakt ten jest zresztą logiczną konsekwencją historyczną kinematografii jugosłowiańskiej, która dopiero się rozwija chcąc jednocześnie nadążyć za wymogami stawianymi przez sztukę filmową w ogóle.

Postacią o której najwięcej mówiono w filmie jugosławiańskim, jest młody reżyser słoweński Hladnik, a filmem, który wywołał w Puli najwięcej komentarzy jest jego film „Taniec na deszczu". Dyskusje, jaką ten film wywołał były rezultatem zupełnie niekiedy sprzecznych ze sobą ocen, od pełnych podziwu do potępienia. Nawet oficjalne stanowisko jury, świadczy o pewnym zakłopotaniu w jakie Hladnik wprawił swoim filmem dostojnych jurorów, którzy nie przyznali w tym roku tradycyjnej „Areny" — nagrody przewidzianej za najlepszą reżyserię, ponieważ — cytujemy komunikat — „Na VIII Festiwalu Filmu Jugosłowiańskiego" ani jedno dzieło filmowe reżysera, nie zasłużyło sobie pod względem dojrzałości twórczej i oryginalności na tę wysoką nagrodę".

To oświadczenie nie przeszkodziło jury wydać specjalnego dyplomu oraz nagrody w wysokości 400.000 dinarów Basztianowi Hladnikovi „za język filmowy pełen ekspresji, wysoki poziom artystyczny i walory twórcze jego pierwszego filmu „Taniec na deszczu".

Oglądając film Hladnika, cokolwiek by się o nim mówiło", musimy przyznać wyjątkowe bogactwo środków wyrazu tego twórcy i mistrzo warsztatu, robotę reżyserską godną prawdziwego „cineasty" podniesioną do wirtuozerii, co zastanawia tym bardziej, gdy sobie uświadomimy, że to jest jego pierwszy film, i że do niedawna był tylko zapalonym amatorem. Krytyka jugosławiańska stawia mu zarzut, że w wizjonierskim przeplataniu snów i jawy nawiązał do dawnej maniery impresjonistów, ale któż może zaprzeczyć, że w akcentowaniu podświadomości i w abstrakcyjnym do pewnego stopnia sposobie traktowania kompozycji nie widać wpływu nadrealistów? Sam Hladnik przyznaje, że wzorem dla niego byli Bergman i Hitchcock oraz twórcy nowej fali we Francji, aczkolwiek bynajmniej nie do tego stopnia, by uważać go za ich epigona. Innym zarzutem stawianym Hladnikowi jest niejasność wykładu i zbytnie skomplikowanie narracji tak, że dla przeciętnego widza fabuła filmu „Taniec na deszczu" po części została nieczytelna, co stało się głównym źródłem protestu. Film ten nie ukazuje nam realistycznego obrazu postaci bohatera, zwracając uwagę tylko na jego życie emocjonalne.

Wykazując skłonność do poetyzacji treści, nie jest Hladnik bynajmniej mistykiem i każdy kadr jego filmu, i każda sekwencja, istnieją same w sobie jako całość będąc jednocześnie ważnym ogniwem całości kompozycji. Tym co zasługuje na podkreślenie jest umiejętność Hladnika niezwykle harmonijnego wykorzystania wszystkich form filmowej ekspresji: scenariusza, gry aktorów, ruchu kamer, scenografii, muzyki i montażu. Może słabość Hladnika do nastroju litości, i pewnych anomalii psychicznych razić, podobnie jak i chęć wprowadzenia udziwnionych nieco motywów i symboli, nie sposób jednak nie przyznać, że na tle innych postaci i filmów jugosłowiańskich Hladnik i jego „Taniec na deszczu" nie mogą pozostać niezauważeni, są wyjątkowym zjawiskiem w całej piętnastoletniej produkcji filmowej Jugosławii.

Jayne Mansfield ze swym dzieckiem.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

V FFF

Czy naprawdę „Kino-prawda"?

Po obejrzeniu „Kroniki jednego lata" JOANA ROUCHA i EDGARDA MORINA wychodzi się z bardzo różnymi wrażeniami. — Byli nawet tacy wśród widzów, którzy opuszczali salę kina „Skarpa" nie doczekawszy końca filmu. A chyba warto było posiedzieć dwie godziny, by ujrzeć i posłuchać ludzi grających siebie i tych samych ludzi podpatrzonych z ukrycia.

Bohaterowie „Kroniki jednego lata" pochodzą z różnych warstw społecznych, są wśród nich — robotnik z fabryki Renaulta i Marcelina pracujący w jednym z instytutów badania opinii publicznej; jest trochę cyniczny student i Marilon, samotna dziewczyna z Italii szukająca innego życia w Paryżu; jest Murzyn-robotnik i „prawie szczęśliwe" małżeństwo, są ludzie — przechodnie i policjant przypadkowo spotkani na paryskich ulicach i w ekskluzywnym, nadmorskim kurorcie Saint-Tropez. Z nimi twórcy filmu — jeden filmowiec, a drugi socjolog — przeprowadzają wywiady i aranżują rozmowy na aktualne tematy społeczno-polityczne. Ujawniają się w tych wypowiedziach przeróżne postawy wobec życia i politycznych wydarzeń, na przykład w Algierii czy Kongo.

Początkowo pod względem formy film Roucha i Morina robi wrażenie jakiegoś nieuporządkowanego utworu dokumentalnego — stąd może niektórzy widzowie chyba zdezorientowani opuszczają salę w połowie projekcji. Uporządkowanie i pewne podsumowanie tej filmowej ankiety socjologicznej następuje jednak pod koniec filmu. Ukazane rozmowy, reakcja rozmówców, stają się przedmiotem dyskusji wśród nich samych. Bohaterowie „Kroniki jednego lata" poddają krytyce swoje poprzednie rozmowy i reakcje, próbują wyciągnąć wnioski, które są bardzo przeciwne i wykluczają się wzajemnie. Rouch i Morin w epilogu filmu, ujawniają własne różnice zdań, co do celowości powstania filmu i jego prawdy

Chyba słusznie zostawiona zostaje widzom owa otwarta furtka i możność refleksji czy to co ukazano jest prawdą, czy tylko namiastką lub nawet pozorem prawdy o ludziach i życiu, czy też może tylko popisem nowej formy dwóch sympatycznych twórców filmu? Prawda zawarta w „Kronice jednego lata" nie jest chyba CAŁĄ PRAWDĄ — brak jej siły, by przekonać widzów w całości o swojej prawdziwości. Może dlatego, że właśnie codzienna prawda jest dla nas samych mało ciekawa, tak jak może człowiek sam dla siebie jest nieciekawy?

Do dyskusji pozostaje, czy kino-prawda Roucha i Morina jest godne dalszego kontynuowania, czy jest większości widzów potrzebne. Niewątpliwie jest próbą zarejestrowania codziennego życia, próbą ukazania ludzi w ich codzienności. Na pewno stanowi bardzo cenny materiał dla badań socjologicznych. Jest też chyba „Kronika jednego lata" ciekawa dla laika i trzeba się trochę dziwić, że ujrzawszy siebie i swoje sprawy niektórzy aż tak się nudzą. A tak niestety było w ostatnim dniu V Festiwalu Festiwali Filmowych, którego końcowym akordem był film Roucha i Morina nagrodzony w Cannes w 1961 roku nagrodą krytyki filmowej — „FIPRESCI" oraz „Złotym Dukatem" w Manheim.

Nowe filmy WFO

Z prawdziwą przyjemnością zapowiadamy sześć nowych krótkometrażówek, zrealizowanych w ostatnich miesiącach ubiegłego roku przez WFO w Łodzi. Oczywiście, trudno mówi o jednakowym wyrównanym poziomie wszystkich pozycji pokazu, jednak całość wypada ocenić przynajmniej na dobrze.

Dwa z cyklu popularno-naukowych: „Rak-pustelnik" oraz „I kurczęta muszą się uczyć" zaprzeczają rozpowszechnionemu poglądowi o nieatrakcyjności podobnej tematyki. Pierwszy — w realizacji Józefa Arkusza — mógłby z powodzeniem uchodzić za wycinek z disneyowskiego filmu przyrodniczego: opowiada o życiu i zwyczajach raka-pustelnika w sposób intrygujący, zilustrowany świetnymi zdjęciami Witolda Powady, i jest nie tylko pasjonująco poprowadzoną lekcja biologii, lecz ponadto konsekwentnie zbudowanym obrazem, posiadającym swoistą konstrukcję dramatyczna. Drugi — „I kurczęta muszą się uczyć" Bolesława Bączyńskiego, z dowcipnym komentarzem M. Wawrzkiewicza zapoznaje z wynikami doświadczeń, przeprowadzanych na kurzej fermie.

Z serii filmów związanych z wychowaniem, wyraźnie adresowanych do rodziców i opiekunów, film Jadwigi Żukowskiej: „Moje dziecko pójdzie do szkoły" choć poprawnie zrealizowany, z niewątpliwymi walorami dydaktycznymi, w sumie potraktowany zbyt instruktażowo i stąd słabszy od poprzedniego filmu Żukowskiej „Małych rekrutów".

Również w schematycznym układzie rozwiązany został dokument z budowy elektrowni turoszowskiej „Dla tysięcy megawatów" Radosława Sobeckiego. Sprawia on wrażenie zmontowanych kilkunastu ujęć z budowy, którym momentami brakuje myśli odautorskiej.

Natomiast w pełni udaną pozycją to „Wybrzeże Bretonii" Zygmunta Adamskiego. Starą dzielnicę. Francji, słynącą z brabanckich koronek, poznajemy i od innych stron — codziennego życia w osadach rybackich, wchodzących dzięki rozwijającej się turystyce w okres prosperity, jak również jej dalekiej kulturowej przeszłości, sięgającej czasów Celtów.

I wreszcie ostatni z sześciu krótkometrażowych — film Jarosława Brzozowskiego „Prekolumbijska sztuka meksykańska", o którym można pisać wyłącznie w samych superlatywach. Ogromna siła wyrazu i ekspresji zdjęć, zaskakująco śmiałe i nowatorskie operowanie światłem wydobyło z eksponatów wystawy wszystko to, czego się nie dostrzega w normalnych warunkach sali muzealnej.

Dyskretny komentarz, czytany przez Holoubka w połączeniu z ilustracją muzyczną Bairda opartą na ludowych motywach muzycznych Meksyku — są tutaj kulturalnym, nienarzucającym się akompaniamentem. Film Brzozowskiego jest rewelacją artystyczną, zresztą nie pierwszą i z pewnością nie ostatnia tego znakomitego reżysera.

EWA OSTROWSKA

EKRANIK

„Cleo od piątej do siódmej" to jeszcze jeden film spod znaku „nowej fali". Tym razem mamy do czynienia z dziełem reprezentującym najambitniejszą grupę młodych twórców francuskich. Alain Resnais, Chris Marker i Agnes Varda. Te trzy nazwiska stanowią nadzieję francuskiego filmu. Trójka przyjaciół i trójka ludzi, którzy mają coś do powiedzenia. A co więcej, potrafią to powiedzieć w sposób nowy i nowoczesny. Resnais w bardzo krótkim okresie czasu zdołał już zdobyć światową sławę „Hiroszimą" i „Marienbadem", „List z Syberii" zyskał Markerowi bardzo pochlebną opinię w oczach europejskiej krytyki. Nieco w cieniu tych dwóch nazwisk kryje się postać kobiety — Agnes Vardy. To jej film „La pointe courte" stał się właściwie zwiastunem „nowej fali". Varda nie należy do najpopularniejszych reżyserów obecnej doby. Ma jednak swoich gorących zwolenników i jest wysoko ceniona przez prawdziwych miłośników sztuki filmowej. Jej filmy są w pełnym tego słowa znaczeniu filmami autorskimi. „Cleo od piątej do siódmej" — to kronika dwóch godzin życia młodej piosenkarki Cleo, dwóch godzin spędzonych w oczekiwaniu na wynik badań lekarskich, który ma zadecydować o jej przyszłości. W ciągu tego czasu młoda kobieta spostrzega nieskończoną ilość spraw, które jej dotąd były obojętne. Odkrywa świat, który tylko pozornie był jej znany, i ludzi, którzy tylko pozornie byli jej bliscy. Odnajduje szanse miłości. Ale czy zdoła wykorzystać jeszcze ową dziwną lekcję? Varda nie daje rozwiązania swemu dziełu. Nie wiemy jaki będzie ostateczny werdykt lekarski.

Andrzej OSTOJA

Sprawa ANNY P.

Z notatnika prokuratora

Bracia Zdybowie biegli polem na przełaj. Wyprzedzili ją o 50 metrów. Koło przystanku natrafili na patrol MO.

— Morderczyni!... Zabiła siekierą!... Ucieka! Łapać, łapać! — wyrzucił z siebie zdyszany Stanisław Zdyb.

— Co się stało? Gdzie? Jak?! — krzyknął sierżant Obersztyn.

— Tam! O już ją widać! Łapać! Łapać! — wołał Zenon Zdyb.

Plutonowy Gradys mocował się z pochwą pistoletu.

— Stać! Ręce do góry! Milicja!

Powoli, centymetr za centymetrem podniosły się drżące ręce.

— Zabiłam męża! — powiedziała — możecie do mnie strzelać! Kiedy założyli jej kajdanki, była już zupełnie spokojna. Zdarzyło się to w dniu 21 stycznia 1961 roku o godzinie 23.35.

* * *

Anna P. ma ręce załamane w geście rozpaczy. Włosy roztrzepane. Ubranie w nieładzie. Czasem zrywa się z krzesła i krąży po gabinecie jak zwierzę w klatce. Nie oponuję przeciwko temu i nie przerywam. Słucham uważnie. Prokurator musi posiadać umiejętność słuchania.

Jakże wielu rzeczy można się dowiedzieć z tych długich, bezładnych, pośpiesznych wyjaśnień człowieka, którego często w ciągu całego życia wysłuchuje do końca jedynie prokurator.

Przypuszcza, że mąż nie żyje. Jest przekonana, że cios zadane wczoraj siekierą były śmiertelne. Jednakże nie widać żalu. „Zabiłam go bo zabiłam„ powtórzyła parokrotnie. „Ale to dobrze, tak będzie lepiej, nareszcie nastanie spokój" — dodaje. Dopiero na przypomnienie, że w związku z tym jej sytuacja życiowa nie wygląda dobrze — wybucha spazmatycznym płaczem.

Z wyjaśnień jej wynika, że mąż bił ją i malteretował, na dzieci nie dawał ani grosza, zmuszając ją tym samym do sprzedaży sprzętów i przedmiotów gospodarstwa domowego. Wyprzedała w ten sposób z domu wszystko, zostawiając jedynie pierzynę, pod którą spała na wspólnym barłogu z pięciorgiem dzieci w wieku 2,5 roku, 8, 13, 15 i 17 lat. Nie dojadła, czasami podkradnła kartofle lub buraki sąsiadom z pola. Mąż miał kochanki bardzo kosztowne, rozbijał się z nimi samochodami, urządzał w lokalach zabawy. Stale pił. Po pijanemu bił ją i wyzywał. Nareszcie jej udręka dobiegła końca. Nie będzie przecież miała gorzej w więzieniu, niż miała dotychczas w domu.

Spokojnie przyjmuje do wiadomości fakt, iż zostaje aresztowana. Wychodzi z gabinetu przed milicjantami, wycierając głośno nos w rękaw płaszcza.

Tymczasem Tadeusz P. walczy w szpitalu ze śmiercią. Doznał on: **„w lewej okolicy potyliczno-ciemieniowej rany powłok czaszki drążącej w głąb do kości o ramionach długości 3,2 i 2,5 cm, ranę długości 3 cm ponad małżowiną uszną oraz ranę czaszki długości 4 cm ponad małżowiną uszną".** Stan poszkodowanego w pierwszych dniach po wypadku był ciężki, jednak zdrowy organizm przezwyciężył kryzys i w toku rozprawy osobiście składał niezwykle gwałtowne i obciążające swą żonę zeznania.

Śledztwo zaraz na wstępie napotkało na poważne trudności wynikające z rozbieżności w zeznaniach świadków. Oprócz poszkodowanego i podejrzanej, zajście w całości lub we fragmentach widziało 5 osób: Janina i Tadeusz Lończykowie którzy pili wódkę z podejrzaną, Jadwiga Zdyb, obserwująca przebieg zdarzeń przez dziurkę od klucza, oraz bracia Stanisław i Zenon Zdybowie, którzy weszli do pokoju po uderzeniu Tadeusza P. i następnie zawiadomili o wypadku milicję. Lończykowie złożyli zeznania, z których wynikało, że Tadeusz P. wszedł do pokoju z siekierą w ręku, groził żonie zabiciem, a także uderzył ją w twarz. Wówczas to Anna P. miała chwycić własną siekierę, zadając mężowi ciosy. Sama Anna P. w trakcie drugiego przesłuchania podała wersję Lończyków, aczkolwiek przy pierwszym przesłuchaniu, pytana w tym kierunku, nic o siekierze w ręku męża nie wspominała. Lończykowie twierdzili również, że Anna P. zadała ciosy stojąc na wprost męża, kiedy ten wyciągnął z pod pachy siekierę i sam chciał ją uderzyć. Zeznania te wyraźnie szły w kierunku wykazania, że Anna P. działała w obronie własnej i przyjęcie tej wersji oznaczałoby w praktyce

wykluczenie odpowiedzialności ze strony podejrzanej, gdyż wobec posługiwania się przez Tadeusza P. siekierą, a zatem narzędziem niebezpiecznym dla życia nie można by było Annie P. uczynić zarzutu usiłowania zabójstwa, a można by było w najlepszym wypadku mówić jedynie o przekroczeniu granic obrony koniecznej.

Zeznania braci Zdybów oraz Jadwigi Zdyb były pod tym względem zupełnie odmienne. Twierdzili oni, że Tadeusz P., nie mogąc dostać się do mieszkania, pożyczył od nich siekierę i wszedł bez niej do pokoju. Ciosy Anna P. zadała mu z tyłu, kiedy nie była przez niego zagrożona.

Wyjaśnienie tych podstawowych rozbieżności, mających zasadnicze znaczenie dla sprawy, ciągnęło się przeszło 2 miesiące. Przeprowadzano kilkanaście konfrontacji między Zdybami a Lończykami. Ustalono w końcu następujący stan faktyczny sprawy:

W dniu 21 stycznia 1961 r. około godziny 15 Tadeusz P. przyszedł do Zdybów zajmujących jedno mieszkanie w jego domu znajdującym się na dalekich przedmieściach Łodzi, aby zobaczyć, co się dzieje z jego gospodarstwem. Tadeusz P. w tym czasie nie mieszkał już z żoną i przebywał stale u swych znajomych. Idąc do domu Tadeusz. P. zauważył swą żonę Annę P., która była w towarzystwie nieznanych mu dwóch osób. Na jego widok cała grupa poczęła uciekać przez pola w kierunku zabudowań Brzezińskich.

To postępowanie żony wydało się Tadeuszowi P. bardzo podejrzane. Przypuszczał, że chce mu ona ukraść z kopca ziemniaki i postanowił przenocować u Zdybów, aby zapobiec ewentualnej kradzieży. Do Zdybów zaszedł Tadeusz P. zaopatrzony w pół litra wódki. Zastał w domu Jadwigę, Stanisława i Zenona Zdybów, oraz swego syna Zdzisława, który już spał. Zdzisław pozostał przy ojcu, po jego wyprowadzeniu się od żony, zaś pozostałe czworo dzieci — wychowywała matka.

Tymczasem Anna P. wróciła do domu w towarzystwie Janiny i Tadeusza Lończyków, swoich znajomych „od kieliszka". Tego dnia od samego rana Anna P. wraz z Lończykami piła w różnych miejscach a pierwsza ćwiartka „pękła" już o 8 rano. Teraz Anna P. namówiła Lończyków, aby przyszli do niej do domu, w celu godnego zakończenia tak pięknie rozpoczętego dnia. Nieśli oni ze sobą pół litra wódki, wędzonego dorsza i parę kiszonych ogórków jako „zagrychę".

Około godziny 23 Zenon Zdyb, który wyszedł na podwórze, powiedział po powrocie do Tadeusza P., że u niego w mieszkaniu są jacyś ludzie i słychać rozmowę. Tadeusz P., postanowił zobaczyć, kto jest u jego żony i począł dobijać się do drzwi z korytarza. Początkowo stukał, potem walił pięściami, wreszcie kopał potężnym buciorem. Za drzwiami słychać było szepty, jednak nikt nie odpowiadał. Wówczas Tadeusz P., głośno przeklinając, wyszedł w towarzystwie Stanisława Zdyba na podwórze i chciał się dostać do pokoju od strony przedsionka, jednak i te drzwi były zamknięte, a dobijanie się pozostało bez odpowiedzi. Tadeusz P., wpadał w coraz większy gniew. Widząc, że nikt nie chce z nim rozmawiać ani mu otworzyć, pobiegł do mieszkania Zdybów i zażądał od Jadwigi Zdyb pożyczenia mu siekiery. Kobieta początkowo nie chciała się na to zgodzić, jednak w końcu, po dłuższych naleganiach, dała mu siekierę, którą Tadeusz P. odbił dwie deski od okna prowadzącego do przedsionka, a następnie zostawił siekierę na parapecie, sam zaś wszedł przez okno do przedsionka.

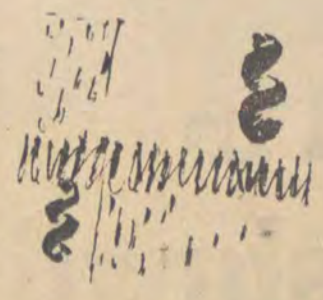

Jadwiga Zdybowa zabrała siekierę i zaniosła ją do swego mieszkania, po czym przez dziurkę od klucza poczęła obserwować, co się dzieje w pokoju.

Kiedy Anna P. posłyszała stukanie do drzwi zwróciła się do Lończyków:

— Ani pary z gęby. To on. Niech się dobija.

Tadeusz Lończyk pobladł z wrażenia.

— To... to może my już sobie pójdziemy... — zaproponował nieśmiało.

— Milcz! — rzuciła Anna P. — Co, już cię strach obleciał? Też mi mężczyzna!...

Dobijanie stało się gwałtowne. Drzwi drżały.

Anna P. skoczyła do węglarki. Błysnęło ostrze siekiery.

— Niech wejdzie! Niech tu spróbuje wejść! Ten drań!

— Co, co chcesz zrobić? — jęknął zzieleniały ze strachu Lończyk.

— Zatłukę... zatłukę jak psa! — krzyknęła.

Tymczasem Tadeusz P. zaczął właśnie odbijać deski w oknie sieni. Słychać było trzask drzewa. Potem głuchy głos skoku. Ciężkie kroki. Coraz bliżej drzwi...

Lończyk uczynił ruch, jakby chciał schować się pod stołem. Janina Lończyk siedziała nieruchomo, patrząc rozszerzonymi oczami na drzwi. Anna P. skuliła się i oparła o szafę. Kurczowo ściskała ukrytą za sobą siekierę.

Klamka opadła w dół. Drzwi gwałtownie się otworzyły.

— Won z mieszkania! — krzyknął Tadeusz P. w stronę Lończyków. — Co, znowu pijesz? — zwrócił się do żony.

W drzwiach zamajaczyła sylwetka Stanisława Zdyba.

Tadeusz P. postąpił kilka kroków naprzód. Lończyk, zgięty w pół chyłkiem posunął się w stronę drzwi.

— No! — powiedział do niego groźnie Tadeusz P. i obrócił się w jego stronę, stając bokiem do żony — No, mówię... won z mieszkania!

Wtedy dobiegła do niego Anna. Ostrze siekiery błysnęło nad jego głową.

* * *

Zamiar zabicia męża nie powstał nagle. Nie był wynikiem odruchu. Nie powstał także pod wpływem wypitego alkoholu, aczkolwiek wódka niewątpliwie przyśpieszyła realizację dawno planowanego zamiaru.

W toku śledztwa ujawniły się wielkie sprzeczności. Świadkowie podzielili się na dwie grupy. Składano w obu grupach całkowicie różne zeznania. W zależności od tego, której to grupy przedstawiciele zeznawali, Anna P. urastała do roli istoty dobrej i szlachetnej, brutalnie wyzyskiwanej przez męża —potwora, męża — uosobienie wszelkiego zła. Świadkowie Tadeusz P. nie kryli się z kolei z nienawiścią do jego żony. Padały niewybredne określenia. Ich zdaniem kara śmierci byłaby dla niej zbyt łagodna.

Tymczasem prawda, która wyłaniała się podczas żmudnych badań i przesłuchiwań była inna. Odsłonięto wiele ciemnych i brudnych stron z życia tych dwojga ludzi, których w końcu rozdzieliło kalectwo jednej i więzienie drugiej strony.

Stwierdzono, że od samego początku pożycie małżeństwa P. układało się bardzo nieszczęśliwie. Anna P. była alkoholiczką. Prawie co dzień upijała się i robiła mężowi karczemne awantury. Tadeusz P. także nie stronił od kieliszka — i od kobiet. Jako wozak, mający wóz i parę koni, zarabiał około 15 tys. zł. miesięcznie. Zdawać by się mogło, że przy tak wysokich zarobkach, nie powinno im niczego zabraknąć. Tymczasem tak nie było. Dzieci ich nieraz głodowały i chodziły byle jak ubrane. Zdarzało się, że Anna P. podkradała żywność sąsiadkom, wreszcie sprzedawała z domu ostatnie rzeczy. Na wódkę.

Na wódkę wydawał także pieniądze mąż. Tylko, że wydawał więcej. Niejednokrotnie bawił się w drogich lokalach. Niemniej jednak początkowo Tadeusz P. nie był ani pijakiem, ani najgorszym ojcem i mężem. Ale nie mógł wytrzymać domowego piekła. W końcu zaczął pić. Anna P. w czasie awantur niejednokrotnie biła męża czym się dało. Rękami i garnczkami, motyką i glinanym dzbanem. Kiedyś wylała mu na twarz wrzątek z grzybami. Tadeusz P. często nie pozostawał dłużny. Chodzili pobici i posiniaczeni. Tadeusz P. w początkach 1959 roku począł czynić starania o rozwód. Od tego czasu awantury przybrały na sile. Anna P. nie rozstawała się z tasakiem i nieraz odgrażała się, że męża tym tasakiem zabije. W takiej to atmosferze, atmosferze wulgarnych słów, bójek i krzyków, deprawowało się pięcioro dzieci.

Sąd Wojewódzki dla m. Łodzi, w Wydziale IV Karnym, uwzględniwszy wszystkie okoliczności sprawy i mając na względzie okoliczności przemawiające zarówno „za" jak i „przeciwko" oskarżonej, skazał Annę P. za usiłowanie zabójstwa męża, na 5 lat więzienia.

EWA DĄBROWSKA

*
* *

Teraz pójdziemy ścieżkami rozstania
Kiedyś były to ścieżki zwyczajnych przechadzek
obrzeżone kępami traw
Jeśli pamiętasz
wiatr przefruwał z gałęzi na gałąź
rano — jeśli pamiętasz — rosa na trawnikach
liście strząsały z siebie cienką łuskę światła
Schylaliśmy się nad gałązką wrzosu
nad pszczołą uczepioną drobnych kwiatów
Jeśli jeszcze pamiętasz
niebo nad głowami
obłok dźwigał się z wolna Rósł oślepiający
nad wierzchołkami drzew
Lecz teraz
pójdziemy ścieżkami rozstania
w popłochu
licząc ostatnie drzewa na krawędzi lata
poza którą już tylko rdzawe krzaki jeżyn
i przejrzałe jagody poplamią nam palce
Jeszcze ożywia obraz wirujące liście
błędne ogniki liści w oparach jesieni
Potem wyjdziemy z lasu dalszych dróg niepewni
mówiąc
to tylko spacer
to są zwykłe ścieżki

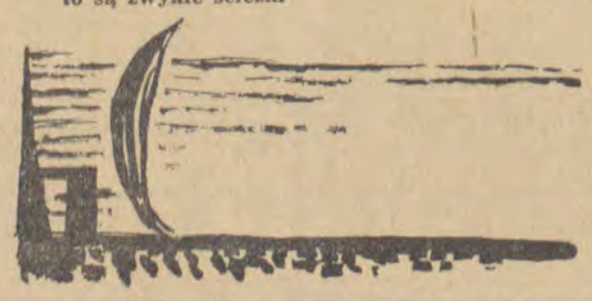

GUTTA CAVAT LAPIDEM...

Kropla pada na kamień
Łatwo było zasnąć
Kropla pada na kamień
To jest przebudzenie
Kropla pada na kamień Dzień spada obuchem
Zmiażdży Jeszcze nie zmiażdży Ile dni zostało
Kropla pada na kamień Kropla drąży kamień
Policzmy więc oddechy Ile wart jest oddech
Jak płytki ślad zostawia ta kropla oddechu
Trud jałowy na pozór
Kropla drąży kamień
Które znuży się pierwej kropla czy też kamień
Kroplami wzbiera rzeka zachłannie unosi
sen przebudzenie trwogę okruszyny gniewu
Kiedy rzeka ukaże wyschnięte koryto
Kropla pada na kamień Kropla rzeźbi kamień
zbyt wolno

Dalszy ciąg ze str. 1

niech pan pisze. W innej klasie też znalazła się podobna do mnie. Ale tamta klasa inaczej się zachowała. Czy lepiej niż moja? Niech pan nie pyta. Więc ta klasa postanowiła ukryć przestępstwo. Postanowili, że nie wydadzą koleżanki. Obawiali się kary, może by dziewczynę wylali ze szkoły? A z naszej szkoły, to już pan wie: dokąd mamy iść? Niech pan nie zaprzecza. Ja wiem. Ale znalazł się jeden, który myślał inaczej. On, powiada, wyzna jak było. Wszyscy go prosili, żeby tego nie robił, żeby nie udawał sprawiedliwego. Że musi być solidarny. A on się znowu pytał, jaka to solidarność, do czego prowadzi? Koleżanki i koledzy swoje, a on swoje. Nie dał się ani zastraszyć ani przetłumaczyć. Wszyscy się dziwili, oczywiście koledzy, bo nauczyciele nie znali tych targów. Pan nie uwierzy, do czego w końcu doszło. Matka tej uczennicy poszła do niego, do domu. „Musisz świadczyć za koleżanką", powiedziała, „nie możesz zrobić jej krzywdy". I wymogła na nim przysięgę, że będzie milczał. Nie wierzy pan? To znana historia. Każdy ją opowie. Czy znam treść tej przysięgi? Nie powtórzę słów, jedynie sens. Faktem jest, że matka wydusiła od niego przysięgę. Ale kiedy przyszło do konfrontacji, chłopak powiedział prawdę. I prawie cała klasa poszła za nim. Pan wątpi? Nikomu włos z głowy nie spadł, ta koleżanka uczy się nadal, nawet dobrze, wszyscy byli wdzięczni chłopakowi. Obecnie ta klasa pod względem zachowania należy do przodujących.

Historia nie z tej ziemi, powiada pan? O, my potrafimy kłamać. Czego nie wymyślamy, aby usprawiedliwić spóźnienie albo nieobecność. „Matka jest konająca, matka umiera, leży ciężko chora, nie wiem czy przeżyję ten cios". Oczywiście, matki cieszą się najlepszym zdrowiem, o niczym nie wiedzą, są przekonane, że córki chodzą przykładnie do szkoły. Kłamstwa umiemy produkować. Robimy to nawet z wdziękiem. Nie rozumiem. Pan pochwala nasze kłamstwa? Dlaczego? Chodzi panu o przelamanie się? Mam koleżankę, która jest sierotą, mieszka w takiej kajutce i utrzymuje się z renty po matce. Nie zazdroszczę jej. Często opuszczała lekcje. Tłumaczyła się, że mieszka kątem u znajomych, że pracuje po nocach, zarabia cerowaniem. Zasypia rano ze zmęczenia i dlatego nie przychodzi do szkoły. Z tą koleżanką podobnie wyszło jak ze mną. Zamiast awantur znalazła u dyrektora współczucie. Przyszła w końcu do zastępcy dyrektora i powiedziała: „Nie mogę dłużej kłamać. Przepraszam, że panu psuję frekwencję w klasie. Kłamałam mówiąc, że zarabiam cerowaniem. Nie chciało mi się przychodzić do szkoły i wymyślałam różne historie. Nie chcę więcej robić tych przykrości. Poprawię się". Powtarzam, nikt ją do tego kroku nie zmuszał.

Goście w szkole: na pierwszym planie tow. Loga-Sowiński, I sekr. KŁ PZPR tow. M. Tatarkówna-Majkowska oraz sekretarze KŁ PZPR T. Głąbski i M. Kuliński.

MARIA i EKSPERYMENT

Atmosfera, mówi pan? Może. Z pewnością jest w naszej szkole coś, co można tak nazwać. Czy lubię tę szkołę? Niech pan nie pyta. Cokolwiek powiem, to będzie nieścisłe. To jest szkoła Tysiąclecia. Druga z kolei w Łodzi. Sam pan widzi: bardzo ładna szkoła. Na otwarciu byli przedstawiciele rządu, ministrowie. Była towarzyszka Tatarkówna, towarzysz Loga-Sowiński. Także przedstawiciel włókniarzy tow. Spychalski. Dziękowaliśmy im za tę szkołę. Tym więcej, że to dla nas. Pan nie rozumie? Dlaczego tak mówię? Pan się zdziwi, jak powiem. Widzi pan. Najpierw to muszę odpowiedzieć, kim my jesteśmy. A raczej kim byliśmy. Jedna z matek orzekła: drugi garnitur. Ci w ogólniakach to pierwszy garnitur, a my drugi. Może i tak było, jak ta matka mówiła. My rzeczywiście byliśmy z tyłu. Ale teraz tak nie jest. Jak się nieraz słyszy, co nasi koledzy w niektórych szkołach wyprawiają, to u nas już tego nie ma. Wiem, o co panu chodzi, ja nie generalizuję. Tylko że nie mogę się zgodzić, że my jesteśmy drugim garniturem. Teraz tak nie jest. Inaczej nie widzielibyśmy u siebie tow. Tatarkówny. Jak to rozumiem? Ano tak, że tow. Tatarkówna nie przychodziłaby do ludzi, którym nie ufa. A przecież ta szkoła jest dla nas. Nie mam racji? Ale odpowiem na pytanie. Kto uczy się w naszej szkole? A więc jak już mówiłam, ci wszyscy, którzy nie znaleźli miejsca w ogólniakach. Z jakim wynikiem skończyłam podstawówkę? Szkoda mówić. Jak inne. My tu prawie wszyscy z tych słabszych. Rzadko o

czwórkę na świadectwie, a i niedostateczne z zachowania też były. Z takim przygotowaniem nie było co marzyć o średniej szkole. Do fabryki też przyjąć nie chcieli. Oczywiście, przede wszystkim z powodu wieku. Tak, ja wiem, to była trudna sytuacja. Pan powiada: stanęliśmy przed bramą życia? Przed nami świat? Jaki tam świat! Raczej miasto. Ze wszystkimi swoimi zakamarkami i zasadzkami. Deptak na Piotrkowskiej. „Dzikie pola", jak pan nazywa. Ale ja po kawiarniach się nie włóczyłam. Może bym poszła, gdyby nie ta szkoła. Niech mi pan nie przypomina o tych pieniądzach, to inna sprawa. Faktem jest, że się nie wykoleiłam. Wiem, są takie dziewczęta, babki, u nas tego nie ma. Zgadza się, jesteśmy dorosłe, ale wie pan, tu nie chodzi tylko o lata. Ani o to czy która z nas może mieć narzeczonego.

Szkoła nas wyrwała z ulicy. Jakie byłyśmy, to już pan wie. Jakie mogłyśmy być, też pan wie. Nie chcę za parę lat pisać w rubryce zawód, że jestem „przy mężu". Albo jeszcze gorzej, znaleźć się w kartotece milicji. Bo to też mogłoby się zdarzyć. Widzi pan. Jest nas w tej szkole przeszło czterysta. Czy pan zdaje sobie sprawę: czterysta dziewcząt wyrwanych ulicy! To jest szkoła zasadnicza, włókienniczo odzieżowa. Mamy jeszcze w tym gmachu szkołę przysposobienia zawodowego, tam jest około trzysta dziewcząt. Tamta zresztą w tym roku będzie zlikwidowana. Zostanie nasza. Ja jestem na kierunku dziewiarskim. Czy mam pewność, że otrzymam pracę? Pan się niepotrzebnie pyta. Ja wiem, co pan myśli: że dla dziewcząt brak jest pracy. Pan mi pokazuje rubrykę — przeszło trzy i pół tysiąca zarejestrowanych dziewcząt w wydziałach zatrudnienia i tylko sto dziewięćdziesiąt miejsc. Muszę na to odpowiedzieć. Nie ogólnie, niech się inni tym martwią. Zdaje się, że pan mnie źle zrozumiał. Co robią te dziewczęta nie przyjęte do pracy? Czy mają jakieś zajęcie w domu rodzinnym? W domu kultury? W bibliotece? W kinie? Najgościnniej przyjmuje je ulica. To ja już powiedziałam. Na trasie od placu Wolności do placu Niepodległości wydeptują różne ścieżki. Czasami do grupy przestępczej. Ja to wszystko rozumiem. Myśli pan, że o tym nie rozmawiamy? Ale my mamy zapewnioną pracę. My, to znaczy dziewiarki. W tym roku kończymy naszą szkołę. Nasi dyrektorzy porozumieli się z zakładami Findera. Dyrektor tych zakładów podszedł do nas życzliwie. To wielkie nasze szczęście. Zakłady remontują jedną salę dla nas. Sala ma być kolorowa, nowoczesna. Będą tam ustawione nowe maszyny. Zwiedzał pan naszą szkołę? Prawda, jakie czyste pracownie? Tak samo będzie wyglądała hala w fabryce. Dyrektor spodziewa się, że ożywimy życie kulturalne w fabryce. Bo my tu mamy balet, chór, kółka żywego słowa, rzeźbiarskie, dekoracyjne. Tak te tablice, to nasza robota. Jak się ten dyrekor nazywa? Kasprzak. Powtarzam panu, praca w fabryce będzie jakby przedłużeniem naszej pracy w szkole. Nawet taka umowa została zawarta między szkołą i fabryką. Szkoła ma się nami w dalszym ciągu opiekować. Jesteśmy bardzo rade z tego układu.

Nie, proszę pana, ja tego tak nie sformułowałam. Tak, powiedziałam, szkoła nas wyrwała z ulicy. Bo to prawda. Może nawet trzeba by ostrzej powiedzieć. Każdy z nas chce zdobyć zawód. To też prawda. Tylko nie wiem, czy pan uważnie słuchał, kiedy powiadałam o naszych wybrykach. O tych mizernych kłamstwach, oszustwach. W tych dykteryjkach należałoby szukać właściwej odpowiedzi. Ja nie powiedziałam ani słowa o nauczycielach. A oni przecież tam są. Tak, my znamy te różne historie, które się dzieją gdzie indziej. Nie, ja się na ten temat nie wypowiem. Niech pana nie dziwi moje stanowisko. Dlaczego właśnie ja mam być sędzią? U nas te sprawy rozwiązuje się inaczej. Nazywają nas młodzieżą trudną. Trudności występują nie tylko w zachowaniu, ale i w nauce. Jednak umiano do nas podejść. Tak, ja mówię o tym eksperymencie. Dochodzimy do tego, co stanowi atmosferę szkoły. Nie, proszę pana, nie jesteśmy aniołami. I nie będziemy. Nie wierzę w aniołów. My wiemy o tym i nasi nauczyciele również zdają sobie z tego sprawę. Niektórzy z nas myślą sobie tak: zapiszemy się do organizacji i wszystko będzie okey. Przegralibyśmy w takim układzie. Więc o tym eksperymencie? Dobrze. Nauczyciele zaproponowali nam podpisanie umowy. Pan czytał tę umowę? Właśnie, to jest ów eksperyment. Oczywiście, nie same punkty, ale treść. „Młodzież pragnie choć w pewnej mierze pomóc nauczycielom w ich trudnej pracy wychowawczej przez przejęcie niektórych spraw związanych z działalnością szkoły i środowiska". W ten sposób ujęto zadania młodzieży. Jest tam szesnaście punktów które wymieniają nasze zobowiązania. Podzieliliśmy prace między organizację: przede wszystkim ZMS, a także samorząd i harcerstwo. Gdyby ktoś czytał te punkty, może wzruszyłby ramionami. Ale proszę pana! Nawet taki punkt „podjąć walkę ze spóźnieniami na lekcję", ile on stwarza różnych sytuacji, ile wymaga różnych decyzji! No, na przykład, opowiadałam panu o tej dziewczynie, której matka rzekomo konała. Więc pan widzi. Regulamin może sobie spokojnie wisieć na ścianie, a może też mówić o całym życiu. To już od nas zależy, od naszych planów i organizacji. Więc sam pan widzi, że nie jest tak źle z ruchem młodzieżowym w szkole.

Proszę pana, my nie żyjemy na księżycu. Mamy duże trudności. Domowe i niedomowe. Z nauką także. Niech pan nie zapomina, że pochodzimy z „drugiej kategorii". Co pan znowu! Nie obrażam się. Mówię o tym spokojnie. Nasi wychowawcy dali nam do podpisania kontrakt: współżyjemy na zasadach przyjaźni. A także koleżeństwa. Nikt nam jeszcze nie powiedział: pilnuj szewcze kopyta. To znaczy idź tam, skądżeś przyszedł. Nikt nas nie odsyła na ulicę. Nikt mi nie wypominał, że ukradłam. Ja panu coś powiem. Ja w domu rodzinnym czułam się nieraz samotna. Ojciec mnie lubi, matka mnie kocha, rodzice są robotnikami, większość rodziców u nas jest robotnikami. Nie mogę na nich narzekać. A przecież nieraz czułam taką pustkę wokół siebie! Zdawało mi się, że nie mam nikogo bliskiego na świecie. Początkowo w szkole też byłam samotna. A potem jakby inna krew zaczęła we mnie krążyć. Nie od razu, stopniowo. Co to może być? Pan mówi, że wychowawcy trafili do nas? Do naszych zainteresowań? Do naszych emocji? „Makarenowska koncepcja wychowawcza", powiada pan? Nie, nie potrafiłabym panu odpowiedzieć, na czym polega szczęście człowieka. Ale niech mi pan wierzy, jeżeli teraz znajduję jakiś sens w życiu, wiem po co żyję, to nie dlatego, że podpisaliśmy taką czy inną umowę. Powiedziałam, umowa może wisieć na ścianie i być martwa. A w naszym życiu zaczyna się dziać coś nowego. Coś się staje. Są dziewczęta, które po tygodniu nie przychodziły do szkoły. Teraz przychodzą. Powiada pan, Marie i Magdaleny przełamują się? To tak jest, ale może trzeba to jakoś inaczej powiedzieć?

Więcej na razie panu nie powiem. Owszem, prosimy. Na zebraniu powiemy sobie i o innych sprawach. Tak. Zna pan drogę? Nasza szkoła jest za miastem, Naruszewicza 35. Ale pan przyjechał okrężną drogą. Można krótszą. Od Rzgowskiej. Pomiędzy kinem Roma a kościołem jest taka uliczka, a potem pole. Teraz jest mróz, więc można na przełaj. Szkołę widać z daleka. „My radi krepit' s wami družbu", jak piszą do nas koledzy z charkowskiej szkoły technicznej. Do zobaczenia.

TADEUSZ PAPIER

ZOBOWIĄZANIE

Młodzież Zasadniczej Szkoły Włókienniczo-Odzieżowej i Szkoły Przysposobienia Zawodowego w Łodzi przy ul. Naruszewicza 35, zrzeszona w organizacjach ZMS, ZHP oraz samorządzie szkolnym, pragnie choć w pewnej mierze pomóc nauczycielom w ich trudnej pracy wychowawczej przez przejęcie niektórych spraw związanych z działalnością szkoły i środowiska.

Mieliśmy szczery zamiar podpisać nasze zobowiązania w Dniu Karty Nauczyciela, aby tym samym dać dowód, jak bardzo cenimy naszych nauczycieli i wychowawców, lecz niestety, nasze zamierzenia musiały ulec odroczeniu z uwagi na niedostateczne jeszcze przygotowanie do tak poważnych zadań.

Obecnie nastąpiła znaczna poprawa w zachowaniu i postępowaniu większości uczniów, co daje nam tę pewność i przekonanie, że wspólnie podołamy przyjętym na siebie obowiązkom.

POSTANAWIAMY:

1. **Organizować i czuwać nad prawidłowym przebiegiem dyżurów w szatniach, w klasach, korytarzach i na boisku.**
2. **Współdziałać na odcinku obowiązującej dyscypliny szkolnej w zakresie słabej frekwencji uczniów na lekcjach i podjąć walkę ze spóźnieniami.**
3. **Czuwać nad czystością klas, pomieszczeń, obejścia szkolnego i podjąć akcję wychowawczą w stosunku do tych koleżanek i kolegów, którzy nie dbają o ład i porządek na terenie szkoły.**
4. **Prowadzić na tablicy wykaz niepoprawnych uczniów, opuszczających bez dostatecznych powodów zajęcia szkolne i spóźniających się na lekcję.**
5. **Współdziałać z nauczycielami w zakresie postępów uczniów w nauce. Badać przyczyny niedostatecznych ocen i starać się wpływać na uczniów, wykazujących słabe postępy w nauce i mobilizować ich do pracy. Organizować pomoc w nauce uczniom słabym na zajęciach pozalekcyjnych.**
6. **Prowadzić wykazy najlepszych osiągnięć poszczególnych klas w nauce i zachowaniu.**
7. **Przestrzegać czystości i estetyki wyglądu zewnętrznego koleżanek i kolegów oraz noszenia przepisowego stroju uczniowskiego.**
8. **Podjąć organizację apeli i uroczystości szkolnych.**
9. **Wziąć odpowiedzialność za masowy udział i kulturalne zachowanie się koleżanek i kolegów w w uroczystościach i imprezach szkolnych i pozaszkolnych.**
10. **Ponosić odpowiedzialność za powszechny udział koleżanek i kolegów w zajęciach pozalekcyjnych, jak: chóru, baletu i innych kółek.**
11. **Przyjąć odpowiedzialność za opracowanie gazetek i błyskawic sporządzanych w związku z różnymi okolicznościami.**
12. **Przyjąć odpowiedzialność za właściwe urządzenie i przeprowadzenie wewnętrznych wieczorków tanecznych, spotkań z działaczami i literatami, artystami, „zgaduj-zgaduli".**
13. **Przyjąć odpowiedzialność za organizację i przeprowadzenie prac społecznie użytecznych na terenie szkoły i poza szkołą.**
14. **Zobowiązać się, po zorganizowaniu chóru i baletu, do urządzania występów w świetlicach fabrycznych przemysłu włókienniczego.**
15. **Zobowiązać się do zorganizowania spółdzielni uczniowskiej.**
16. **Przejąć opiekę nad sprzętem i urządzeniami szkolnymi i utrzymywać je w należytym porządku. Wszelkie drobne uszkodzenia zobowiązujemy się naprawić we własnym zakresie. Poszczególne klasy ponoszą pełną odpowiedzialność materialną za szkody wyrządzone przez koleżanki i kolegów.**

Podpisy

Po klęsce „Warszyca" niektóre jego oddziały ujawniły się. Oto grupa „Prawdzica" ujawnia się w marcu 1947 r. przed gmachem PUBP w Radomsku

Koniec wojny domowej

Dokończenie ze str. 1

jęli ziemię obszarniczą lub pomagali w jej rozdzieleniu, jednak w praktyce — bojówki KWP próbowały później dokonać z chłopami krwawego rozliczenia. Chłopi, którzy aktywnie brali udział w rozdziale ziemi, podciągani bywali pod miano „agitatorów komunistycznych" i zabijani. W ulotkach KWP przeczytać można: „jesteśmy za reformą rolną i nacjonalizacją przemysłu", ale zupełnie inaczej precyzuje tę sprawę przeznaczony do wewnętrznego użytku rozkaz „Warszyca", wydany z okazji Nowego Roku 1946 i będący zarazem jakoby rozkazem „programowym" KWP.:

„... Nie reforma rolna, która nie w czasie i źle przeprowadzona zamieniła biedę w nędzę, nie przereklamowana odbudowa przemysłu, nie takie czy inne reformy społeczne, a zapewnienie Narodowi tego o co przelewał krew jest tym programem, który winien sobie stawiać jako najpierwszy tak żołnierz jak i polityk. Doceniam ważność reform i konieczność reform gospodarczych i społecznych, ale aby do nich przystąpić — najpierw muszą nastąpić fakty sprawiedliwości w stosunku do Narodu".

Pomijając niczym nie wyjaśnione stwierdzenie, że reforma rolna została nie w czasie i źle przeprowadzona, a odbudowa przemysłu przereklamowana — w całej tej wypowiedzi istnieje zasadnicza sprzeczność. Najpierw fakty sprawiedliwości, a potem reformy społeczne — wolali, zapominając, że właśnie reformy społeczne były pierwszym ogromnym aktem sprawiedliwości, jaki władza ludowa spełniła, w stosunku do narodu.

Byli „za" reformami, i jednocześnie byli „przeciw". Tego rodzaju „dialektyka" nie mogła oczywiście trafić do świadomości biedoty, wobec której władza ludowa spełniła marzenia kilku pokoleń chłopskich.

Z czego wynikała ta mętna „dialektyka"?

Dla „Warszyca" i jego grupki działającej w Polsce i orientującej się w nastrojach ludności jasnym było, że takie zjawiska jak reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu — są już nieodwracalne. Przeciwstawiać się im otwarcie oznaczało samobójstwo. Lecz podobnej orientacji brakowało grupom emigracyjnym inspirującym walkę podziemia. Dla tamtych ludzi obraz nowej Polski był jej obrazem sprzed roku 1939. Przyznać się więc do nieodwracalności reform społecznych dokonanych przez władzę ludową oznaczało dla „Warszyca" automatyczne zerwanie z londyńskimi grupami, odcięcie się od nich, samotność. Oznaczało to także utratę oparcia u grup wrogich władzy ludowej a pozostających w kraju. Dla tych bowiem ludzi „Londyn" był ciągle najwyższym autorytetem.

Pozostawało więc tylko jedno: głosić mętne hasła, mówić o ideałach sprawiedliwości nie precyzując ich. Obiecywać Polskę, ale nie mówić jaką.

W sytuacji, gdy istniała w Polsce partia robotnicza z niezwykle atrakcyjnym programem trzyletnim, planem odbudowy Warszawy itd., te mętne hasła musiały sprowadzić klęskę podziemia. O klęsce podziemia zadecydowała bowiem nie tylko ilość karabinów maszynowych, lecz także brak jakiejkolwiek ideologii i programu politycznego.

W jednym z rozkazów KWP czytamy (Manewr 0375):

„Walka o Ideały komplikuje się i przedłuża. Czy walkę skończymy za kilka tygodni czy za kilka miesięcy, czy nawet po latach całych — nikomu nie wolno rozgoryczać się do tego stopnia, ażeby dać się porwać fali ogólnego rozkładu i zaniku moralności. Chodzi o to, abyśmy zachowali wierność swoim szczytnym Ideałom Walki i wierność naszej Idei".

I cóż z takich sformułowań pojął nawet szeregowy członek organizacji „Warszyca"?

„Ideały". Ale jakie?

„Ideały Walki". Czy walka dla samej walki?

Pod takim „programem" mogli się podpisać tylko ludzie, dla których powrót do normalnego życia był niemożliwy, lub ci, co znajdowali przyjemność w walce dla samej walki — poszukiwacze przygód, jednostki zdemoralizowane.

W rozkazie nr 2 MP 2/0861/2 tak określił „Warszyc" „Warunki prawno — formalne" nowej, tworzonej przez siebie organizacji pod nazwą „Konspiracyjne Wojsko Polskie":

„... Analizując sytuację i warunki naszej dalszej działalności jestem zmuszony wziąć pod uwagę następujące fakty:

1. Rozkaz Naczelnego Dowództwa, rozwiązujący Armię Krajową.

2. Powstanie tzw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej przez dokooptowanie przez lubelski Rząd Tymczasowy kilku członków z emigracji londyńskiej i uznanie go przez rządy innych państw, a tym samym pozbawienie formalne Rządu Polskiego w Londynie uprawnień reprezentowania Rzeczypospolitej.

3. Wyjście z konspiracji czołowych osobistości AK za przykładem płk. Radosława i oddanie się ich do dyspozycji czerwonych władz.

Tak wyglądała Polska, jaką obiecywał „Warszyc". Ten człowiek wyciągnięty w bieliźnie z domu podczas nocy zginął za to, że sympatyzował z PPR. Zdjęcie autentyczne z Praszki w pow. wieluńskim

4. Istnienie różnych wzajemnie ścierających się i zwalczających orientacji tak w kraju, jak i na emigracji, z tym, że żadna z nich nie opiera się o autorytet ogólnie uznany i reprezentujący władzę w pełni uprawnioną; i jedni i drudzy prowadzą politykę na swój sposób egoistyczną, zmierzającą do zachowania względnie zapewnienia stanowiska uprzywilejowanego pewnym tylko ugrupowaniom.

5. Przesunięcie się niemal całkowicie odpowiedzialności za los Polski z czynników emigracyjnych na społeczeństwo w Kraju.

Wobec tego dalecy od zakłamania i rozgrywek politykierskich tworzymy nowy związek wojskowy, nową organizację. Jesteśmy jedną z wielkich grup Armii Podziemnej, która nie politykuje, nie czeka, a widzi, że los Polski rozstrzyga się w Polsce...

Nie wiemy w tej chwili, w tym okresie największej próby charakterów, załamywania się ludzi, sprzeniewierzania się ideologiom — kto będzie ową postacią sztandarową około której skupi się Naród.

Będziemy unikać monopolu na władzę i przywileje; ludzie tacy w przełomowych momentach zawsze zawodzą (np. duży procent przedwojennych wyższych oficerów i wyższych urzędników z przedwojennego obozu rządzącego). Jesteśmy apolityczni, nie uzależniamy się od żadnego stronnictwa i żadnego nie popieramy wyłącznie. Podporządkujemy się tylko takiej władzy, która dowiedzie, że swym postępowaniem jest zgodna z dążeniami większości Narodu."

„Warszyc" widział w sobie „ową postać sztandarową, wokół której skupi się naród", widział w sobie „władzę, która dowiedzie, że swoimi czynami jest zgodna itd." Powołana przez niego organizacja miała mu pomóc wynieść się na najwyższe szczyty.

Apolityczność jego organizacji była tylko figurą retoryczną. Już w rozkazie nr 4 wyraźnie poleca:

„Żołnierzom oddziałów rezerwowych zezwalam i polecam brać jak najbardziej czynny udział w życiu i działalności stronnictw w Kraju — PSLSP oraz SD i PPS z tym, że w dwóch ostatnich będą czynili wysiłki w kierunku uwolnienia ich od wpływów obcych i elementów czerwonych."

Jako załącznik do tych wszystkich wytycznych mogą posłużyć podpisane przez „Warszyca" wyroki na członkach PPR i sympatykach partii oraz lista 145 osób zamordowanych z rozkazu podpisanego bezpośrednio przez „Warszyca".

* * *

W historii wojny domowej lat 1945—1948 poważny chyba rozdział zajmą kiedyś zdarzenia, jakie rozegrały się na Ziemi Łódzkiej. Stanowić one będą — być może — tym ciekawszą kartę, że przeciwnik władzy ludowej próbował tutaj stworzyć jeden szeroko rozgałęziony ośrodek zbrojnej dywersji, a działalność swoją uzasadnić jakimiś racjami politycznymi. Władzy ludowej przeciwstawiano tu nie tylko uzbrojoną pięść, ale i próbę koncepcji zasad działania politycznego, a także próbę teoretycznego rozpracowania struktury i sposobów walki armii podziemnej w warunkach wojny domowej przeciw żywiołom socjalistycznym. Przejęte przez organa bezpieczeństwa tajne archiwum tzw. Konspiracyjnego Wojska Polskiego zawiera nie tylko ciekawe informacje, na jakich zasadach próbowano urządzić życie wewnątrz podziemnych oddziałów — rzecz cenna dla badań historyków wojskowości — lecz także zawiera to archiwum komplet rozkazów dowództwa KWP, które w sumie dają jakiś obraz ideologicznej i politycznej koncepcji naszych przeciwników.

Rozgromienie podziemia w latach 1945—1948 dokonało się nie tylko na drodze militarnej. Dokonało się ono równocześnie i na drodze moralno-politycznej. Przeciwnikom władzy ludowej nie tylko wytrącono oręż z ręki, ale zdemaskowano także ich koncepcje polityczne. A dokonało się to dzięki istnieniu Polskiej Partii Robotniczej i jej programu. Rola tej partii i jej programu była decydującą w zwycięstwie nad podziemiem.

Współcześni przeciwnicy władzy ludowej uzasadniają klęskę podziemia polskiego istnieniem bardzo rozbudowanego aparatu bezpieczeństwa. Gdyby tak było — gdyby walka w latach 1945—1948 nie była wojną domową, w której po stronie władzy ludowej uczestniczyły masy ludowe, gdyby był to tylko konflikt między uzbrojonymi i zorganizowanymi oddziałami podziemia, a służbą bezpieczeństwa — odbicie tego znalazłoby się w zestawieniach ofiar jakie padły po naszej stronie. Tymczasem liczby mówią zupełnie co innego.

W latach 1945—1948 podziemie zamordowało w Polsce 12.556 ludzi. W tym funkcjonariuszy bezpieczeństwa — 3.828, działaczy politycznych — 982 i 7.746 osób w jakiś sposób związanych z władzą ludową, członków PPR i postępowych organizacji.

W tych liczbach uzewnętrznia się cały charakter walki toczonej przez podziemie. Była to nie tylko walka z aparatem bezpieczeństwa, zbrojnym ramieniem partii. Walka ta miała charkter antyludowy, toczyło ją podziemie z partią i z tymi, co sympatyzowali z jej programem. Widzi się to jeszcze wyraźniej, gdy przegląda się meldunki z tamtych lat. Jakże często zdarzało się, że w wiosce otoczonej przez bandy ginął nie milicjant lub stacjonujący posterunek wojskowy, lecz prosty chłop, który nie miał ani pistoletu, ani karabinu, nie stanowił więc żadnego niebezpieczeństwa dla podziemia — a jedynym jego „przestępstwem" była legitymacja partyjna lub głośno wyrażona sympatia dla partii. Nie karabinów i pistoletów obawiało się polskie podziemie, ale właśnie owych prostych, zwykłych ludzi, w których narastało przekonanie o słuszności przemian zachodzących w Polsce. Klęska jaka spadła na podziemie wynikła więc nie tylko z przewagi militarnej władzy ludowej, ale i z utraty oparcia we wsiach i miasteczkach, u prostego człowieka, któremu podziemie nie mogło nic ofiarować, ani koncepcji politycznej ani wizji jakiejś Polski, a któremu partia dawała i jedno i drugie.

Skrytobójcze mordy dokonywane na chłopach i robotnikach, stały się w pewnej chwili tak rażące, tak drastyczne, tak odstręczające od podziemia, że nawet „Warszyc" musiał w tej sprawie wydać specjalny rozkaz.

Czytamy w nim /LP 175/1966/3/:

„Podejście do sprawy czerwonych prześladowców jest zupełnie niewłaściwe. Likwiduje się bez przerwy jedynie zwykłych członków PPR, nie mających żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Zostawia się natomiast w spokoju faktycznych winowajców. Należy bezwarunkowo zmienić swe nastawienie, a zacząć uderzać w czerwonych przywódców."

W praktyce jednak likwidacja nawet wojewody nie miała dla band żadnego znaczenia, przyszedł bowiem nowy — gdy najważniejsze stało się dla podziemia, aby nawet za cenę największego terroru utrzymać w posłuchu wsi i malutkie miasteczka, gdzie znajdowali bazy wojskowe. Terror ten musiał w końcu obrócić się przeciw terrorystom, liczba członków PPR nie tylko nie malała, lecz wzrastała, chociaż znamy miejscowości tak sterroryzowane przez bandy, że partia musiał zejść tam w... podziemie, w konspirację.

Wojna domowa toczyła się w Polsce w szczególnie dla niej trudnym okresie odbudowy po pięcioleciu niewoli i walki z okupantem hitlerowskim. Spowodowała zniszczenie około 10.000 gospodarstw chłopskich, spalenie 880 ha lasów, zniszczenie 40 mostów kolejowych, 20 stacji, 6 kopalń nafty; straty spowodowane przez rabunek dokonywany przez podziemie na państwowych i spółdzielczych przedsiębiorstwach sięgnęły wielu milionów zł. Historia „Warszyca" i jego oddziałów stanowi tylko malutki wycinek tej wojny domowej.

Zwycięstwo nad podziemiem było nie tylko militarne, ale i polityczne. Zwyciężyły racje historyczne jakie niosła ze sobą władza ludowa. Podziemie, które godziło przede wszystkim w Polską Partię Robotniczą i jej ludzi mogło zostać zwyciężone tylko dzięki istnieniu PPR i jej programu, wokół którego skupiły się wszystkie elementy postępowe i patriotyczne.

Losy Polski rozstrzygnęły się w Polsce.

ZBIGNIEW NIENACKI

Autentyczne zdjęcie przedstawiające szkolenie w oddziałach „Warszyca"

sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

O gigantomanii faraonów egipskich

Historia est magistra vitae. No więc, skoro tak jest, sięgnijmy do historii, tej nauczycielki życia także i zbiorowego. Egipt, jak wiadomo, jest wielkim rozkopaliskiem wiedzy historycznej — niewyczerpanej i wciąż żyznej jak wody przepływającego obok tych rozkopalisk Nilu. Wszystko w Egipcie zmieniało się i zmienia — tylko Nil pozostawał przez wieki i pozostał do dziś ten sam, niezmienny zawsze i dobroczynny. Bo nawet jego coroczne wylewy są błogosławionym dobrodziejstwem w przeciwieństwie do wylewów wszystkich innych rzek na całym świecie, które są ustawiczną plagą i prawdziwym przekleństwem ludzkości. Jeżeli z historii Polski, która na dobrą sprawę liczy sobie tylko kilkaset lat, można się wiele nauczyć, to cóż dopiero mówić o Egipcie, którego historia liczy sobie lat kilka tysięcy! Mniej więcej jeden wiek dziejów Polski wypada na jedno milenium dziejów Egiptu. Na naszych sto lat doświadczeń przypada ich tysiąc. To nie znaczy wcale, aby Egipcjanie mieli być od nas akurat dziesięć razy mądrzejsi. Ale wypada się od nich uczyć bez żadnej ujmy dla miłości ojczystych dziejów. A więc uczmy się, uczmy się od Egipcjan! Na przykładach zarówno ich osiągnięć jak i błędów. A jedne i drugie są niemałe.

Egipcjanie są twórcami matematyki (ściślej geometrii) i astronomii. Wizualnym niejako i praktycznym dowodem ich mistrzostwa w tych pokrewnych zresztą i dialektycznie sprzęgniętych ze sobą dziedzinach, są zdumiewające swą doskonałością, systemy irygacyjne oraz imponujące piramidy, dwa gigantyczne dziedzictwa starożytności egipskiej: jedno żywe do dziś drugie muzealnie martwe. Ale oba bardzo pouczające. Warto z nich wyprowadzić praktyczne wnioski.

Skąd powstała owa gigantomania, a w ślad za nią i gigantomachia, której wyrazem są tak charakterystyczne nie tylko dla krajobrazu, ale i dla historii Egiptu jego piramidy? Czy to tylko kaprys wydętych megalomanią wszechwładnych i wszechpotężnych faraonów czy też w równym stopniu wyraz duchowej potrzeby zwykłych fellachów, zaplątonych jak mdłe muchy w pajęczynę gigantycznych systemów nawodnień? Przecież wszystko w tym kraju było na miarę niezwykłą. Ziemia uzależniona jak najściślej od nieba, wylewy rzeki od obrotów słońca i księżyca, a liczba owoców i ziaren zboża od liczby i przemienności gwiazd. Odległości od ziarn piasku na ziemi do ziarn świateł gwiezdnych na niebie były przedmiotem badań naukowych i obliczeń matematycznych. Struktura umysłu starożytnego Egipcjanina z natury rzeczy czyli ze swego konkretnego uwarunkowania skłonna była do wymiarów niezwykłych, pozaziemskich, właśnie gigantycznych. Jego wyobraźnia w sposób niejako przyrodzony obracała się w sferze wielkich liczb, wielkich form, wielkich kształtów.

Ale czy wyrazem tej naturalnej skłonności Egipcjan musiały być koniecznie piramidy? Przecież one świadczące ogromowi przeczyły liczbie: im większe piramidy, tym mniejsza ich liczba? I w tym kryje się sedno rzeczy — w rozwiązaniu tej sprzeczności.

A oto ono, to rozwiązanie: gigantyzm piramid, to typowa impreza faraonów, a gigantyzm urządzeń nawadniających, to typowa, jeśli można tak powiedzieć, impreza zwykłych fellachów. Pierwsza wypływała z pychy i megalomanii faraonów, druga wypływała z potrzeby i musu życiowego fellachów. Niewielu było tych faraonów prawdziwie wielkich i niezwykłych, niewiele też jest piramid prawdziwie imponujących — zaś niezliczona była zawsze i jest liczba fellachów w tym kraju, podobnie jak niezliczona jest liczba kanałów i kanalików w jego niezwykłym pod względem rozmiaru i znaczenia społecznego systemie irygacyjnym.

System irygacyjny podobnie jak jego twórca, lud egipski, jest żywy i żywotny do dziś, piramidy podobnie jak ich twórcy, faraonowie, należą do dawno minionej przeszłości. System irygacyjny egipski, to kategoria i warunek życia czyli źródło wciąż nowych możliwości, piramidy to kategoria historii i obiekt archeologiczny czyli grobowiec rzeczy bezpowrotnie wycofanych z życia i absolutnie martwych.

Jeżeli teraz wrócimy ze starożytnego Egiptu w nasze najnowsze czasy, nie będzie nam trudno spostrzec, że w spadku po przeszłości odziedziczyliśmy z nad Nilu nie tylko egipskie zapalenie oczu, ale nieraz także i kataraktę umysłu, którym jest niewspółmierna do możliwości i potrzeb społecznych gigantomania w myśleniu oraz, co gorsza, gigantomachia w działaniu.

A i nam obecnie nie obca jest taka fasadowość z osławionego okresu błędów i kultu jednostki. Zaś z gigantomanią czyżbyśmy już skończyli bezpowrotnie? Wydaje mi się, że wielu jeszcze wśród nas odnalazłoby się antycznych faraonów, ukrytych pod maską zbyt nadgorliwych entuzjastów wszelkiej gigantomachii bez względu na jej doraźną przydatność i konieczność społeczną. Nie realne potrzeby żywych ludzi nimi powodują, lecz chimeryczne kaprysy anachronicznych duchów rozmaitych Cheopsów i ich następców sprzed blisko pięciu tysięcy lat.

Okrutna jest zemsta umarłych nad żywymi. Straszą nie tylko w piramidach, grobowcach, opustoszałych mauzoleach, pałacach i zamkach, ale także i to najokropniej w pustych głowach ludzkich.

Aleksander Konicki

MUZYKA w STYCZNIU

W Filharmonii — obfitość sławnych solistów i nawet cała orkiestra zagraniczna. Styczeń okazał się wyjątkowym pod tym względem miesiącem. Afisze filharmoniczne musiały zadowolić wszystkich, którzy na koncerty chodzą dla usłyszenia k o g o ś, a nie c z e g o ś. Wystąpili:

Irena Sijałowa — świetna pianistka, dziś naturalizowana Polka, niegdyś laureatka jednego z konkursów chopinowskich w „drużynie" radzieckiej. Zagrała ona dwa koncerty fortepianowe — Mozarta d-moll i Prokofiewa Des-dur. Ten ostatni szczególnie wykonany został z werwą i blaskiem, jakich wymaga to młodzieńcze arcydziełko (jednoczęściowe), napisane przez autora na swój własny dyplom kompozycji i gry fortepianowej w Konserwatorium Petersburskim.

Anton Ginzburg — młody pianista radziecki, jeden z najzdolniejszych wychowanków wielkiego Neuhausa (nawiasem mówiąc kuzyna Karola Szymanowskiego), odegrał z naszą orkiestrą „koncert nad koncertami" — c-moll Rachmaninowa. Interpretacja trochę różna od spotykanej zazwyczaj wywołała niejednakowe reakcje wśród specjalistów. W każdym razie gra Ginzburga była skupiona, męska, wyzbyta wszelkiego uczuciowego ekshibicjonizmu choć nie dość ciepła, a koncepcja utworu monumentalna. Na pochwałę zasługuje też uniknięcie nadmiernie szybkiego tempa, które to niebezpieczeństwo grozi wielu nie dość dojrzałym, a posiadającym dużą biegłość techniczną wirtuozom. Ręka Ginzburga nie podlega żadnym zastrzeżeniom — mocna, spokojna, o palcach „ze stali", całkowicie podległa woli artysty.

Bernard Ładysz — nasz najznakomitszy głos basowy, śpiewał w sali wypełnionej w sposób wyjątkowy. Czy łodzianie nade wszystko cenią sobie popisy wokalne w ogóle, czy też przyciągnęło ich głośne nazwisko a pomogła fama o człowieku, który dotrzymał placu Marii Callas — zapewne wszystko po trosze. Artysta wykonał popularne rosyjskie arie operowe oraz dwie pieśni Czajkowskiego, wielokrotnie też bisował. Bardzo swobodny w aktorskiej interpretacji utworów, był Ładysz niestety trochę zachrypnięty, co przeszkadzało w podziwieniu jego wspaniałego głosu.

Bronisław Gimpel — amerykański Polak i światowej sławy skrzypek odegrał Koncert D-dur Czajkowskiego. W tym szalenie trudnym utworze ukazał nam całą maestrię swej błyskotliwej techniki, rozwinął oszałamiające tempo w ostatniej części utworu, ale jednak wysłuchanie go nie dało pełnej satysfakcji — brakowało śpiewności, gra była nie dość czysta; może winna jest w pewnej mierze muzyka Czajkowskiego?

Poza czterema wyżej wymienionymi solistami koncertów piątkowo-sobotnich Filharmonii Łódzkiej mieliśmy także Nadzwyczajny Koncert Symfoniczny, w którym wystąpiła odbywająca swe europejskie tournée orkiestra „The Eastman Philharmonia" z USA. Jest to właściwie zespół amatorski, w każdym razie niezawodowy, złożony ze zdolniejszych studentów prywatnej Wyższej Szkoły Muzycznej im. George'a Eastmana. Koncert w wykonaniu tej młodej orkiestry prowadził jej założyciel, dr Howard Hanson, dyrygent o ogromnym temperamencie, którego pracy w dużej mierze zawdzięcza zespół swe sukcesy. Młodzi muzycy amerykańscy podobali się bardzo w Łodzi, nawet kilkakrotnie bisowali (z niewiadomych tylko względów coraz lżejszymi i mniej stosownymi utworami). Nie czyniąc porównań z orkiestrami filadelfijską czy nowojorską trzeba z uznaniem podkreślić wysoki poziom wykonawstwa członków „The Eastman Philharmonia", szczególnie kwartetu smyczkowego.

Dzięki wizycie Amerykanów zapoznaliśmy się z nie wykonywanymi dotychczas w Polsce pozycjami współczesnej muzyki amerykańskiej. Przede wszystkim — z I Symfonią Samuela Barbera, czołowego kompozytora Nowego Świata, znanego już u nas z innych utworów. Dzieło to bardzo interesujące, barwne i pełne inwencji, stylowo zbliżone może do poematów symfonicznych Ryszarda Straussa. Rówieśnikiem Barbera jest William Schuman (przez jedno „n"), kompozytor nawiązujący często do tradycji dawniejszej muzyki amerykańskiej. Do takich to dzieł należy również zaprezentowany nam „New England Triptych", będący rodzajem stylizacji współczesnej melodii XVIII-wiecznego kompozytora-amatora. W programie była ponadto (niezbyt udana) V Symfonia Schuberta oraz „Fontanny rzymskie" Respighiego.

Trzeba przyznać ze smutkiem, że wszystkie koncerty styczniowe n a s z e j Filharmonii miały programy mniej ciekawe, a przez to nie dość zachęcające dla wielu miłośników muzyki. Najlepiej pomyślany od tej strony koncert dyrygowany przez Arkadiusza Basztonia — zawierający symfonię Haydna „z trylem, na kotłach", koncerty fortepianowe Mozarta i Prokofiewa i — ha, cóż — „Ucznia czarnoksiężnika" Dukasa, „Kawałek" wprawdzie wdzięczny ale znany na pamięć. Podobnie zresztą jak ten ostatni utwór straszą czasem w programach tak „nowatorskie" pozycje, jak „Step" Noskowskiego czy uwertura do „Sprzedanej narzeczonej", albo zdarzają się niewypały w rodzaju anachronicznej „Uwertury uroczystej" Szostakowicza. Oczywiście usterki te nie przysłaniają nam wielkich zasług kierownictwa i zespołu Filharmonii Łódzkiej w upowszechnianiu kultury muzycznej wśród społeczeństwa naszego miasta. Zadania takiej placówki nie są łatwe i podołanie im nasuwa wiele trudnych problemów.

Z poważniejszych dzieł symfonicznych wykonywanych w styczniu wspomnieć należy przede wszystkim poprowadzenie przez Stefana Marczyka I Symfonii Brahmsa oraz „Piątą" Beethovena dyrygowaną (w ramach cyklu) przez Karola Stryję, występującego gościnnie w Łodzi.

Teraz o muzyce kameralnej.

Łódzkie Towarzystwo Muzyczne raz w miesiącu organizuje — niestety w przygodnych i nienajlepiej przystosowanych salach — audycje, z których ostatnia odbyła się w auli Liceum Muzycznego przy ul. Jaracza. Składała się ona (audycją oczywiście) z dwóch części: występu sopranistki Zofii Śliwińskiej w repertuarze pieśni klasycznych i romantycznych, przy współudziale pianistki Ewy Pieńkowskiej, oraz z pół-recitalu fortepianowego Zofii Prackiej, która odegrała „Obrazki z wystawy" Musorgskiego i „Wariacje fortepianowe" Brzezińskiego. Ciekawy ten koncert nie był wystarczająco rozpropagowany — stała to bolączka!

Więcej, bo około 70 osób, ściągnęła inna impreza — „wieczór sonat" Andrzeja Orkisza (wiolonczela) i Krystyny Waldek (fortepian). Sympatyczni młodzi krakowianie wykonali cztery wielkie dzieła literatury wiolonczelowej: sonaty Bacha (g-moll), Beethovena (A-dur), Schuberta („Arpeggione") i Debussy'ego. Audycja ta była już dziewiętnastą tego rodzaju organizowaną przez Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków, Oddział w Łodzi.

Korespondencje

Poniższe głosy drukujemy na zasadzie „wolnej trybuny". Zapraszamy naszych Czytelników do zabierania głosu w sprawach poruszanych na łamach naszego pisma.

DO REDAKCJI „ODGŁOSÓW"

Serdecznie współczuję panu Piechalowi, że Teatr Narodowy w Łodzi nie został przydzielony Kazimierzowi Dejmkowi, oraz że ten ostatni opuścił nasze miasto przenosząc się na stałe do Warszawy. Rozumiem dlatego dobrze żal i rozgoryczenie znanego łódzkiego satyryka, który był zawsze gorącym zwolennikiem Dejmka i jego zespołu. Rozgoryczenie to jednak w żadnej mierze nie usprawiedliwia owego steku bzdur i niedorzeczności, jakie pan Piechal opublikował ostatnio na łamach „Odgłosów" w felietonie-paszkwilu (jak sam to nazwał) pt. „Konserwacja trupa". Autor domaga się w nim kategorycznie ni mniej ni więcej tylko... bagatela... zlikwidowania opery w naszym mieście, uznając widocznie, że to ona winna jest przeniesienia się Dejmka do stolicy. Na poparcie swego absurdalnego i żenująco naiwnego żądania przytacza mocno wyświechtany i bardzo swego czasu lansowany przez przeciwników opery pogląd, jakoby ta ostatnia jako gatunek sztuki przeżyła się. No cóż, opera miała i mieć będzie zawsze swoich zwolenników i przeciwników, podobnie jak ma ich teatr dramatyczny, malarstwo, rzeźba, film, telewizja, radio — i mimo tego prawdopodobnie istnieć będzie tak długo, jak długo istniał będzie świat. Zresztą na ten temat zapewne nikt z panem Piechalem dyskutować nie będzie ponieważ autor „Konserwacji trupa" nie zna zupełnie tego zagadnienia. Co się zaś tyczy przyszłości opery w naszym mieście, to sprawę tę załatwiła już dawno decyzja władz centralnych w Warszawie, przeznaczając budujący się gmach Teatru Narodowego i Łodzi na stałą siedzibę Opery Łódzkiej. Trzeba tu wyjaśnić panu Piechalowi, że prace związane z przystosowaniem gmachu do potrzeb teatru muzycznego kosztowały Skarb Państwa dziesiątki milionów złotych i między innymi dlatego właśnie nikt nie będzie likwidował w Łodzi Opery ani Operetki, chociaż pan Piechal nie jest ich zwolennikiem. Poza tym żaden teatr dramatyczny nie byłby w stanie zapewnić takiej frekwencji publiczności w olbrzymiej sali na pl. Dąbrowskiego, jak Opera i Operetka (bo przypuszczam, że obie te instytucje powinny znaleźć i chyba znajdą tam wspólne lokum).

(Nazwisko i adres znane redakcji)

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Chciałabym odpowiedzieć, a raczej wypowiedzieć kilka własnych uwag w związku z recenzją pana Jarosława Marka Rymkiewicza (Odgłosy nr 4 z br.)

Nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego.

Oczywiście nie mam zamiaru bronić wartości sztuki pt. „Kobieta w trudnej sytuacji". Chcę jednak przyznać, że uśmiechaliśmy się w czasie tego przedstawienia, a to dużo znaczy — teraz przecież tak trudno o uśmiech!

Przypuszczam, że napisanie dobrej komedii jest rzeczą trudną. Być może pan Rymkiewicz mógłby napisać znacznie lepszą. Serdecznie prosimy! Będziemy naprawdę wdzięczni. (To głos z „mas")

Wydaje mi się, że dobra komedia, to najbardziej paląca teatralna potrzeba chwili. Potrzebny nam relaks w postaci dobrej, dobrze granej komedii.

Wchodząc do teatru usłyszeliśmy wypowiedź: „Wszystko jedno jaka, dobrze że komedia". Całe nasze grono szczerze przytaknęło. Nie znaczy to, żebyśmy nie doceniali sztuk poważnych typu „Hamleta". Odwrotnie. Przeważnie oglądamy tego rodzaju przedstawienia, ale na litość, proszę nas nie skazywać na wyłącznie takie.

Przecież stosunkowo niewiele mamy teatrów typu rozrywkowego (stanowczo za mało). Dlaczego zniechęcać te nieliczne?... W recenzji nie było ani jednego zdania pozytywnego, a przecież gra nie była najgorsza... Ośmielę się jeszcze dodać, że skoro już państwo („a państwo to ja") dopłaca do każdego biletu, to zapewne lepiej, jeśli „masy" zapełnią widownię i oglądając wesołą sztukę odprężą się nerwowo i zdobędą trochę pogody ducha, niż żeby państwo dopłacało do niezajętych miejsc. (Od pewnego czasu obserwuje się mnóstwo wolnych miejsc na widowniach łódzkich i w Warszawie również) w czasie przedstawień typu mniej lub więcej hamletowskiego.

Jeśli można, to chciałabym wyrazić moją osobistą wdzięczność pod adresem „Teatru 7.15" za przedstawienie „Grunt to rodzinka". Dawno żeśmy się tak nie śmiali!

Wydaje mi się, że recenzji z przedstawienia PWSTiF pt. „Rodzynek w słońcu" nie można ograniczyć tylko do orzeczenia, że sztuka została źle dobrana. Być może. Jednak mimo tych niekorzystnych okoliczności kilka ról było naprawdę nieźle granych. Absolwentom grającym w tym przedstawieniu serdecznie gratulujemy.

Z tymi wypowiedziami

Dalszy ciąg na str. 10

KRONIKA

SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

„ZANIM LUDZIE NA ZĘBY WEZMĄ" (XIV)

Zmienny i kapryśny charakter Barbary dawał się wszystkim, a szczególnie jej otoczeniu we znaki. Koszucki w liście do podczaszego litewskiego Mikołaja Radziwiła (Rudego) brata królowej pisał, że Barbara zamyka się w swej komnacie na cały dzień, a czasem i na kilka dni, i nikogo do pokoju do siebie nie dopuszcza. Nawet nowy ochmistrz p. Lubelski doznał w ten sposób despektu od kapryśnej monarchini, o czym Koszucki pisze: „Zakołatawszy (pan Lubelski) musi ze wstydem przez (bez) wpuszczenia wyniść, co go jako wżdy Radę Pańską i pierwszego urzędnika (dworskiego) bardzo obraża". Można sobie wyobrazić te kaprysy, mizantropię i zamykanie się w komnatach Barbary, stroniącej od ludzi, których na Zamku Wawelskim było pełno. Trudniej sobie wyobrazić przyczyny, które kazały Barbarze unikać ludzi. Może był to skutek pustoszącej już organizm królowej choroby, dającej jednocześnie takie niepokojące objawy psychiczne.

Okazuje się jednak, że nawet kochany i kochający król i pan małżonek musiał znosić dziwactwa żony i godzić się na jej postępowanie, które nieraz uchybiało ceremoniałowi dworskiemu, a jakbyśmy dziś powiedzieli — protokółowi dyplomatycznemu.

A więc, „też to ludzi bardzo obraża do pani naszej, iż jej król bardzo często czekać musi gdy do kościoła albo gdzie po społu iść mają. Panowie na sieni stoją z królem, a królowa jejmość dopiero się ubiera. Otóż, ludzie, ba, i panowie tak mówią: Ta Pani nikomu nie czyni wczas, jedno sobie. Jeśli na Radę Pańską nie dba, tedy, by wżdy tego strzec miała, aby Jej król nie czekał. Niebosczyca pierwsza królowa nasza zawżdy króla czekała, a teraz król i z Radą czekać musi".

Pomimo to (a może właśnie dlatego!) Zygmunt August uwielbiał Barbarę i wybaczał jej wszystko. Ludzie szesnastowieczni formułowali to w taki lakoniczny sposób: „Nasz Pan wszystko u królowej Jej Mości przesiedzi".

Dworzanie jednak tłumaczyli sobie lekceważenie przez Barbarę obowiązujących przepisów dworskich wyniosłością królowej i tym, że pogardza ona ludźmi. Nie przysparzało to, naturalnie, Barbarze przyjaciół.

W jednym z listów do Radziwiłła wierny Koszucki pisze: „... Racz Jej w. m. radzić chociaż przez list, aby się chutliwiej przyczyniała za tymi, którzy się wżdy jeszcze o przyczynę do Jej mości garną, boć się ich już wiele odraża... z czego ją barzo potrzeba przestrzegać, a w czas niż ludzie więcej na zęby wezmą".

Atmosfera niechęci wokół osoby Barbary zagęszczała się. Baliński stwierdza, że „chciwi łask królewskich, a tłumnie domagający się o nie za pośrednictwem Barbary dowodzili przed światem, że królowa ozięble się do małżonka za proszącymi przyczynia. Złośliwe zaś języki dodawały, że zamiast pomocy, psuć nawet miała sprawę tych co los jej nadziei swoich powierzali". Wprawdzie Baliński uważa, że jest to szkalowanie pięknej niewiasty, ale mnie się wydaje, że Barbarę mało te wszystkie protekcje obchodziły, przede wszystkim dlatego, że była zaniepokojona rozwijającą się chorobą, a po drugie, że nie chciała i obawiała się zanudzać swego królewskiego małżonka wstawiennictwem w sprawach obcych jej skądinąd ludzi.

Wprawdzie król Zygmunt August nadal był zakochany w swej żonie jak kot, przesiadywał u niej całymi godzinami w komnatach, a przy „załatwianiu spraw krajowych" zamyślał się tęskniąc do żony, ale właśnie dlatego Barbarze mogło zależeć na utrzymaniu zakochanego małżonka w stanie ciągłego pogotowia miłosnego, a nie zawracać mu głowę sprawami natrętnych petentów.

Zygmunt August nie pomijał żadnej okazji, która się nastręczała i w której mógł dać dowód swej miłości małżeńskiej. Taką okazją były imieniny Barbary, dziś, jak i wówczas, obchodzone 4 grudnia. Na Wawelu urządzano z tej racji obchody i uczty, które ciągnęły się przez kilka dni.

Nie posiadamy wystarczających przekazów historycznych, na podstawie których można by odtworzyć wiernie formy towarzyskie miłości, łączącej zakochanego króla z Barbarą. Biorąc jednak pod uwagę, że zawsze byliśmy nieco opóźnieni w porównaniu z Zachodem, przypuszczam, że w pierwszej połowie szesnastego stulecia oddziaływały jeszcze w Polsce elementy późnego średniowiecza, epoki rycerskiej, i w formach miłości obowiązywała na książęcych i na królewskim dworze arystokratyczna postawa życiowa według zasad słynnego „Roman de la Rose", kiedy główną rolę odgrywała (jak twierdzi znakomity historyk kultury Johann Huizinga, autor „Jesieni Średniowiecza"): beztroska, wrażliwość na przyjemności, pogodne usposobienie (u króla Zygmunta Augusta), piękność, bogactwo, łagodność, swoboda myśli i dworność.

Istniało wiele subtelnych znaczeń związanych z barwami ubioru, kwiatów i klejnotów. Pierścienie i klejnoty jako podarunki miłosne miały swoje specjalne znaczenie i funkcje. Barbara przebywając w Dubinkach posyłała zaślubionemu potajemnie królowi pierścień i zegarek.

Wprawdzie małżeństwo miało w czasach Odrodzenia niewiele wspólnego z miłością, ale w wypadku Barbary i Zygmunta Augusta ówczesna reguła nie znajdowała potwierdzenia.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KULTURA i WYCHOWANIE

Komitet Wojewódzki ZMS, Zarząd Wojewódzki ZMW i Redakcja „Odgłosów" ogłosiły pod koniec ubiegłego roku konkurs pn. „Sami o sobie". Celem konkursu jest stworzenie młodym płaszczyzny do dyskusji o sprawach żywo ich obchodzących, o ich własnych kłopotach i radościach, o pracy zawodowej, o życiu społecznym i kulturalnym [illegible]. Celem konkursu jest stworzenie płaszczyzny dyskusji nie tylko na łamach pisma, ale w trakcie organizowanych [illegible] mów, dyskusji. Pierwsze spotkanie przedstawicieli KW ZMS i Redakcji miało miejsce 26 stycznia br. w klubie ZMS w Radomsku. Niniejszy artykuł stanowi omówienie problemów poruszanych na tym spotkaniu.

Radomsko leży na skraju województwa, gdzieś w połowie drogi koleją, pomiędzy dwoma dużymi ośrodkami przemysłowymi i kulturalnymi — Łodzią i Katowicami. Nieco bliżej Radomska, też w mniej więcej jednakowych odległościach, leżą dwa mniejsze środowiska — Piotrków i Częstochowa. Piotrków nie wywiera na Radomsko żadnego wpływu. Natomiast Radomsko ciąży kulturalnie do Częstochowy. Bo to i „Gazeta Radomszczańska" spokrewniona jest z Częstochową i w Częstochowie istnieje teatr. Do Łodzi Radomsko ciąży administracyjnie. W samym Radomsku natomiast na nadmiar możliwości spędzenia czasu i wyżycia się kulturalnego narzekać nie można. Dlatego też dla młodzieży radomszczańskiej i dla radomszczańskich działaczy kulturalnych i społecznych te właśnie problemy są sprawami naczelnymi.

Przede wszystkim możliwości Radomska. Dwa razy w tygodniu nowy film, cztery kluby, cztery przyzakładowe świetlice, kawiarnia „Stylowa" i telewizja. W kawiarni stały zespół bywalców. A poza tym, co to za placówka kulturalna? Podobnie stały zespół bywalców ma do niedawna dobrze pracujący klub TWP. W pozostałych klubach i świetlicach z frekwencją bywa różnie. Zależy od tego, co w klubie „dają". Do tego dodajmy bibioteki, radio i telewizję. Wszystko to razem i tak nie wyczerpuje zapotrzebowania na rozrywkę, na przeżycie natury artystycznej, na potrzebę zajęcia swojej uwagi czymś przyjemnym i pożytecznym. Wszystko to nie wystarcza, ale czy tylko dlatego, że tego jest mało?

W Radomsku buduje się w szybkim tempie dom kultury. Rozsądni ludzie już dziś twierdzą, że sam dom kultury problemu nie rozwiąże. Nie wystarcza bowiem sala, nie wystarcza jej wyposażenie, potrzebni są jeszcze ludzie, którzy — po pierwsze — potrafią znaleźć najwłaściwszą koncepcję pracy i którzy — po drugie — potrafią tą pracą pokierować. Ten problem ludzi i koncepcji znajduje swoje odbicie i w placówkach już istniejących. A więc rzecz leży nie tylko w niewystarczalności placówek kulturalnych.

W samym Radomsku istnieją — jak ustaliliśmy — skromne warunki dla prowadzenia pracy kulturalnej. Natomiast w powiecie radomszczańskim sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. W wielu wsiach młodzież nie ma gdzie zbierać się, nie ma gdzie dyskutować, nie ma warunków na to, aby utworzyć zespół artystyczny, czy zorganizować wieczorek taneczny. Tak więc problem wolnego czasu i warunków potrzebnych do jego zaspokajenia na wsi radomszczańskiej występuje w sposób jaskrawy i nieco odmienny. Na wsi potrzeba trzech zasadniczych warunków dla jego rozwiązania. Lokalu, zespołu ludzi chętnych do podjęcia pracy — i o to najłatwiej — i ludzi chętnych do pokierowania tą pracą i do nadania jej odpowiedniego tonu. Z tych trzech warunków najczęściej brakuje lokalu i ludzi do kierowania praca. Wiele sobie ostatnio obiecują działacze wiejscy po rozpoczętej w Radomszczańskiem „akcji szkoła". Ale to przyszłość. Na razie notuje się pretensje pod adresem szkoły. Po pierwsze — że kierownicy szkół niechętnie oddają „swoje" gospodarstwa „dorosłym" w trosce o całość sprzętu i budynku. Po drugie — że nie wszyscy patrzą łaskawym okiem na młode nauczycielki, które angażują się w pracę z młodzieżą starszą niż najstarszy uczeń siódmej klasy. Jeden z kierowników potrafił powiedzieć nauczycielce: „pani jest młoda, pani pracuje pierwszy rok w szkole, niech pani podnosi swoje kwalifikacje, zamiast wystawiać sztuczki" Po trzecie — że wielu starszych nauczycieli woli zajmować się gospodarstwem niż młodzieżą. I po czwarte wreszcie — że wielu inteligentów wiejskich nie potrafi wyjść ze swego wąskiego i sztucznego kręgu. Że nie potrafią traktować kultury w szerszym znaczeniu, że dla nich kultura, to tylko sztuka, literatura, muzyka, film. Tymczasem właśnie na wsi — i to jest szalenie ciekawe i charakterystyczne — coraz popularniejszy staje się pogląd, że kultura, to nie tylko duchowy dorobek ludzkości, ale, że jej częścią składową jest także dorobek materialny. I dlatego nie należy wzorem niektórych uśmiechać się kiedy działacz ZMW mówiąc o kulturze mówi też i o sprawach czystości i porządku w gospodarstwie, kiedy mówi o elementarnych sprawach życia codziennego. Dla niego jest to składowa część kultury i dla niego problemy te występują nierozerwalnie.

Inaczej jest w mieście. Tutaj mowi się raczej o niedostatku ilości urządzeń kulturalnych i o nie trafianiu w każdym wypadku do konsumenta. Po Radomsku łazi wielu młodych znużonych ludzi. Część z nich postanowiła cały wolny czas spędzać w poczekalni dworcowej. Chodzą z kąta w kąt, potrącają przedmioty, potrącają ludzi, zaglądają w oczy dziewczętom, „podrywają się" jeśli się uda, a potem rozchodzą się do domu. Nazajutrz są znów jak zwykle znudzeni, jak zwykle bezmyślni. Ci chłopcy stali się dla Radomska problemem. Problemem dla władz radomszczańskich stała się też świetlica dworcowa. Prowadziło ją trzech ludzi, co kosztowało trzy etaty, bo świetlica czynna była całą dobę. Postanowiono więc zlikwidować świetlicę, bo się nie opłacała. Komuś może się to wydać paradoksem. Ale to tylko pozorny paradoks. Dworcowej świetlicy przywrócono właściwą nazwę — poczekalni I klasy. Sytuacja pozostała bez zmian. Przecież nieprzyzwoitością byłoby dworcowej świetlicy proponować prowadzenie pracy pedagogicznej z młodzieżą dojeżdżającą i tą „bezprizorną". Ona była świetlicą tylko z nazwy. A więc sprawa treści.

Tymczasem problem pozostał. Problem trudnej młodzieży. Rzecz oczywiście nie w tym, że nie wszyscy godzą się z tą nazwą. Rzecz w tym, że są w Radomsku młodzi ludzie, którzy problem ten dostrzegli i którzy wyrazili chęć współczestniczenia w jego rozwiązaniu, którzy uznali go za sprawę „osobistą". I dalej rzecz polega na tym, że ci młodzi ludzie, działacze ZMS i ZMW pracownicy różnych instytucji, młodzi nauczyciele, nie bardzo wiedzą w jaki sposób problem rozwiązać. Narazie postawili sobie pytanie: dlaczego na cały szereg propozycji spędzenia wolnego czasu, na szereg propozycji działalności kulturalnej, nie ma spodziewanego odzewu. Dlaczego — jak to ktoś wyraził się dosłownie — do klubów nie przychodzi ta młodzież, dla której m.in. one zostały przeznaczone?

Pytania zostały sformułowane. W Radomsku nie znaleziono jeszcze na nie odpowiedzi. Być może poszukiwania nie idą we właściwym kierunku. Być może o powodzeniu zadecyduje treść pracy. Być może trzeba szukać takich form pracy, które by w większym stopniu absorbowały uczestników. Być może trzeba przebudować koncepcje pracy klubów i innych placówek. Należy na pewno porzucić koncepcję kultury, według której człowiek kulturalny, to jedynie konsument, należy zacząć realizować koncepcję, według której człowiekiem kulturalnym jest ten, kto jest współtwórcą wartości kulturalnych, choćby w minimalnym stopniu. Przy czym należy pamiętać, że kultura to nie tylko wartości duchowe, ale i materialne. A więc tym większej wagi kulturalnej i wychowawczej nabiera wyrobienie w człowieku przekonania o wartości społecznej jego pracy, nauczenie go pożytecznego spędzania wolnego czasu i nauczenie właściwego odpoczynku. Realizacja tych zadań posiada niewątpliwie wartości kulturalne i powinna stanowić zakres działania zarówno pedagogów jak i działaczy kulturalnych.

JERZY TYNECKI

Pamiętniki

życiorysy

wspomnienia

W układzie dziesiętnym jest to dział 92: biografie, życiorysy, pamiętniki. W. przeciętnej bibliotece publicznej stanowią one około 7/10 proc. księgozbioru. Gdyby zaś wliczyć do nich również tzw. zbeletryzowane biografie — na przykład „sławnych malarzy" i muzyków (w rodzaju zawsze poczytnej „Pasji życia" Stone'a lub „Miłość nie jedno ma imię" La Mure'a) — włączane zazwyczaj do powieści, odsetek ten wzrósłby jeszcze bardziej. Już samo to wyznacza społeczną doniosłość tego rodzaju lektury.

Jakiż jednak jest mechanizm owego zwrotu znacznej liczby czytelników od powieściowej fikcji ku — niech będzie i tak — literaturze faktów? Wydaje się, że działa tu przesyt konwecjami, według których konstruuje się fabułę „dzieła sztuki". Jest ono zwykle przeżarte filozofowaniem — twórca koncypuje, wymyśla w dużym stopniu charakterystyczną dla swej epoki postawę życiową (uczuciową lub intelektualną), przejaskrawia ją, aby wreszcie — i jakże często wbrew powszechnemu doświadczeniu — konsekwentnie wykazać że postawa ta prowadzi do zguby lub szczęścia. Sens takiej powieści można wtedy z powodzeniem umieścić w wysokich rejonach ideałów, z którymi większość ludzi w pewnej chwili bierze rozbrat.

Weźmy na przykład przypadek skrajny: „Cierpienia młodego Wertera". Pisane są w pierwszej osobie, lecz przecież to nie Goethe popełnił samobójstwo z miłości. Nie on wystylizował swoje cierpienie i uratował się przez to. Samobójstwa popełniali natomiast nagminnie inni — ci, na których nieszczęśliwa miłość podziałała jak grypa przy bolesnej dusznicy. (Czytaj: przy ogólnym niedostosowaniu do zastanych w danej chwili warunków społecznych). Bo też romantyzm i postępujące za nim epoki literackie grzeszyły owym stylizowaniem do przesady. Oto motyw ucieczki od zorganizowanego układu cywilizacyjnego do społeczności prymitywnej („Giaur" Byrona i „Cyganie" Puszkina). Czynnikiem ułatwiającym to odejście od właściwego bohatera romantycznej powieści namiętności. Jak dotąd jakoś to jeszcze było — starzy mistrzowie eksploatowali jedną, ściśle określoną postawę, dziś przecież taki Sartre daje cały rejestr nastawień życiowych, kusi się o panoramę. Tego więc, kto przeczyta jego „Drogi wolności", doprawdy od przybytku głowa boli. W każdym zaś tego rodzaju utworze mieści się mniejsza lub większa porcja pseudo-filozofii, „przekonującej jedynie dla pisarzy" (zdanie to biorę z Maughama), i to właśnie filozofowanie jest zakałą lub wabikiem pewnego określonego typu literatury. Literatury, mimo niejednokrotny wkład talentu i geniuszu twórców, wciąż jeszcze irracjonalistycznej w traktowaniu rzemiosła.

Nie przeczę: byli Werterowie, Puszkin i Lermontow jakby się wcielili w stworzone przez siebie postaci, spotykano (i spotyka się może jeszcze) osoby, żywcem wzięte z Tołstoja i Flauberta, literatura dawała więc pewien obraz choroby wieku. No, dobrze! Ale świat żyje nadal; także w przeszłości przecież ludzie w ten albo w inny sposób wykaraskiwali się z podobnych niebezpieczeństw, i to oni właśnie stanowili o trwaniu człowieczego gatunku. Kto daje świadectwo ich losowi, ich przeciętności, ich doświadczeniom. Otóż właśnie! Skromny, bezpretensjonalny pamiętnik. Podejrzewam zaś, że tak zwany szary czytelnik, gdy skończy lekturę biografii nieprzeciętnej postaci, gdzieś w głębi duszy myśli sobie: „taki to był wariat, a przecież mimo swoje szaleństwa przeżył ładnie parę dziesiątków latek, i — co ważniejsze — nie wpływa to na mój własny stosunek do świata.

Dalszy ciąg ze str. 1

Jednym słowem, niezgorsze mamy tradycje dotyczące tańca, zarówno w literaturze, jak i w praktyce.

W jednej z perełek wydawniczych, w siedemnastowiecznej broszurze pt. „Odpowiedź na złote jarzmo małżeńskie", autor w taki sposób próbuje wyjaśnić przydatność poszczególnych tańców: „Na to tańce różne, żebyście się dziewicom słusznie przypatrzyli. Na to Świeczkowy, żeby jeśli który nie dojrzy, lepiej ją widział przy świecy. Na to Goniony, aby widział, czy nie kaleka albo nie dychawiczną..." i tak dalej i tak dalej.

Przy tej metodzie sprawdzania sprawności fizycznej partnerki, trzeba było stracić co najmniej parę godzin, a tymczasem dziś jeden „Rock and Roll" rozwiązuje ten problem w ciągu trzech minut. No cóż, czasy się zmieniają. Nie zmienia się tylko zapał do tańca, którego Panu, Pańskim Czytelnikom i sobie szczerze życzy

IGOR SIKIRYCKI

KARNAWALczyk

czyli liryczno-satyryczna mieszanka karnawałowa

wybrał i wstępem zaopatrzył IGOR SIKIRYCKI

TEOKRYT

PIEŚŃ TYRSISA

(fragment)

„Kozłarz, gdy widzi, jak się gzi bekliwe stadko,
Gorzkie łzy roni, że się capem nie narodził.
A ty, gdy się przyglądasz tańczącym dzierlatkom,
Gorzkie łzy ronisz, żeś się wśród nich nie nagodził".

Przełożył: A. SANDAUER

ARYSTOFANES

LYSISTRATA

(fragment)

Przenigdy ja w tańcu znużenia nie czuję,
Mych kolan nie zegnie omdlenie:
Z druhnami iść na bój śmiertelny ślubuję,
Bo ducha mężnego w nich cenię!...

Przełożył: E. CIĘGLEWICZ

OWIDIUSZ

SZTUKA KOCHANIA

(fragment)

...Pochwal w tańcu jej ramiona,
chwal jej głos — gdy pieśni nuci,
a skoro już skończy śpiewać,
niech cię to serdecznie smuci...

Przełożył: J. EJSMOND

MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

DANSING

wśród małp skaczących wkoło
małpim obyczajem
w tłumie krów i niedźwiedzi
w poryku i pisku
my jak Adam i Ewa upojeni rajem
tulimy się tańcząc w uścisku

JAN LEMAŃSKI

BAL

(fragment)

Cni panowie i cne panie!
Proszę was o posłuchanie.
Naukowych dzieł powagi
Czegóż łakną? — prawdy nagiej.
A na balu też utrafia
W ten sam cel — choreografia.
Pani, w tańcu pełna werwy,
Jest mądrzejsza od Minerwy.
Pan, w tańczeniu nie kaleka,
Więcej umie niż Seneka.
Piękność biustu i kibici
Uczy prawd najznakomiciej.
Nauka się odkryć chwyta,
A biust w tańcu — rzecz odkryta.
Bez tiulików i bez gazek
Biust — najmilszy wynalazek.
A więc na balowej sali
Nagą prawdę-śmy poznali!...

JULIAN TUWIM

BAL W OPERZE

(fragment)

... W szatni tłok,
W lustrach — setki,
Potrzaskują
Damskie torebki,
Każda poprawia, każda zerka —
I boty! numerek! bez numerka!
I jeszcze pudrem
I jeszcze usta
I lustro lustrem
I znów do lustra
I już — do loży — którą? druga...
Na tajniaka tajniak mruga,
Na lewo, na prawo, na le, na pra,
A w środku już orkiestra gra,
Orkiestra gra! Orkiestra gra!

Ostro gra orkiestra-kiestra,
Z czterech rogów, czterech estrad
Pryska extra bluzgi grzmiące
Miedzią pluska i mosiądzem
I bac! w blask, w oklaski, brawo,
W drgawki metalową lawą
I jazz w blask grzmiąc furioso
— I nagle duszną tuberozą
W krew, w nozdrza plac adiutanta
(Tempo: szampan, szatan, szantan)
I już — wziąć, i już — udami
I już — da mi! da mi! da mi!
I chuć — wskok, i wzrok — kastetem
I pod żyrandol piruetem —
Solo! solo! małpa! nie po...!
buch magnezja foto ślepo
uda uda da mi da mi
gene orde dzwoni rami
zęby śmiechem do maestra
i gra orkiestra, gra orkiestra!...

JULIAN TUWIM

„Jeżeli pan już z moją córką tańczył, to musi się pan ożenić".

K. I. GAŁCZYŃSKI

BAL U SALOMONA

(fragment)

...Uderzyli muzykanci w nowe echa,
zakręciło się jesienne kolowanie
(stare flety, a na fletach malowanie —
taniec... jak w karczmie, taniec...).
Trzecia może była, może trzecia,
jak topazy lśniły oczy zookobiet,
raz po raz złoty wietrzyk przeleciał
nad włosami i przepadł w parowie.
A ten parów to nie rym, to nie wykręt —
to było to miejsce na sali,
od którego się tańczący odchylali,
jakaś otchłań, abyssus, Orcus tańca,
państwo cieni jedzące złocistości
słodkie, proszę pana, i przykre.
I był pion w tej przepaścistości,
i trzeba było podejść do pionu,
i odchylać się odeń, i uskośnić,
urytmicznić i umiłośnić,
i złotymi kolanami objąć próżnię,
i przechylać się ciągle różnie
aż do luster,
aż do tango,
aż do tego milczącego pionu...

Zdjęcia: EUGENIUSZ KUDAJ

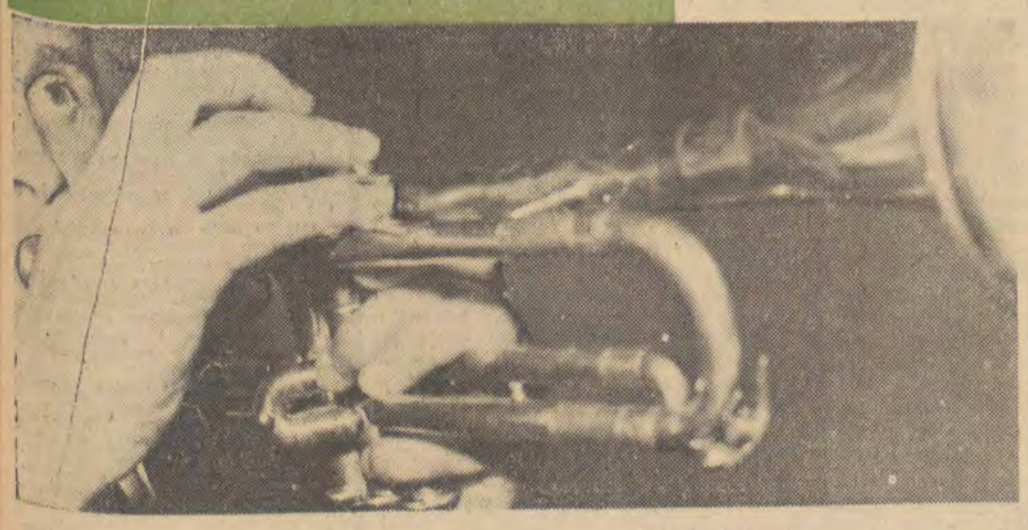

Leon Gomolicki

WYŁĄCZENIE *)

To wcale nie jest takie łatwe — określenie swego zawodu. Prawie tak samo, jak określenie treści życia. Czy można, na przykład, nazwać zawodem przestawianie na półkach książek? Albo wypisywanie kolumn liczb na wielkich pokratkowanych arkuszach? Choć zajęcia te mają swój urok, dostępny nie każdemu. Właściwie odkryć go można tylko w dzieciństwie.

Pewien chłopczyk nauczył się cyfr wcześniej niż liter. Nie mając jeszcze pojęcia o liczbach, pisał arabskie cyfry, gdzie tylko mógł sięgnąć: na ścianach pokoi, na piasku, na swoich paznokciach. Znalazł w kuchni kombinację dwóch desek używanych do prasowania rękawów i upstrzył je dokoła kolumnami cyfr od jedynki do zera. Wtedy już coś wiedział, wertując wielkie tomiska ilustrowane drzeworytami. Na jednym z obrazków brodaty starzec trzymał wysoko nad głową dwie kamienne tablice (tego samego kształtu, co używane do prasowania rękawów deski), na których były wyryte właśnie cyfry od jedynki do dziesięciu. A więc już wówczas coś w chłopcu zapowiadało późniejsze ambitne myśli o książce ostatniej, to jest takiej, po której wszystkie poprzednie straciłyby swoją wartość, a żadna nowa byłaby niemożliwa.

Po jakimś czasie dowiedział się, że dawniej ludzie wierzyli w możliwość powstania takiej książki. Można nawet powiedzieć, że wszystkie pierwsze książki narodziły się z ambicją jednocześnie ostatnich. Ale skoro obok jednej powstała już druga, z nią rywalizująca, absolutna wartość obu stawała się podejrzana. W końcu umieszczono je w arkach przymierza i teraz nikt ich nie otwiera, prócz specjalistów i dziwaków. I to nawet dobrze, że ambicja ich wyjątkowości została z czasem udaremniona, bo inaczej wszystkie księgozbiory świata spotkałby los aleksandryjskiego!

Obecnie życie ograniczyło pole widzenia do blatu biurka, nakrytego poplamionym papierem, ambicje — do ośmiu godzin kręcenia korbką maszyny do liczenia. Czas działa jak woda, która wygładza i stępia wszystkie nierówności. W jego działaniu człowiek może się stać kłębkiem wątpliwości i zahamowań psychicznych. Jakaż szalona różnica, jaka przepaść, jeśli tylko przypomnieć sobie tego chłopca, który w szkolnych latach z politowaniem patrzył na wegetację przeciętności. Jakoś nigdy nie przyszło mu na myśl, że może sam do nich należeć!

2.

Między zamiarem i wykonaniem leży pewna przestrzeń, która bywa niepokonalna. Mimo, że i pierwsze i drugie są w zasadzie aktami woli. Ale zamiar ma także bliskie związki z wyobraźnią, często przerastającą możliwości i stąd to rozdarcie.

A oto ilustracja — jak to wygląda w praktyce.

Przykład z życia tegoż chłopca, który po cyfrach opanował litery i mając siedem lat narysował na okładce zeszytu kwiat i okrążył go napisem: „Powieść, powieść, powieść, powieść". Koło z liter się zamykało, jak ornament, a pod nim był podpis w kształcie labiryntu. Więc w zamiarze — ostatnia książka (bo chłopiec już dobrze wiedział, że nie pierwsza), zaś w wyniku — jedynie pierwsza z poważniejszych scysji z rodzicami.

— Kłamiesz — to matka.

— Wiesz, że nie lubię, gdy kłamiesz.

— Nie kłamię. Mogę pokazać.

— Spójrz na to dziecko — to matka do ojca, który przygotował się do poobiedniego snu na kanapie. — Mówi, że napisał powieść. Czy to podobne do czegoś?

— Przyznaj się — to ojciec — z której książki ściągnąłeś. Ja i tak poznam, bo przeczytałem wszystkie. — Włożył okulary. — To wszystko? — pokręcił zeszytem w ręku. — Matko, słuchaj!

I przeczytał na głos:

„Przyjechałem do mojego przyjaciela, który miał żonę. Ja nie miałem żony. Rano wyszedłem do salonu śpiewając ulubioną piosenkę.

Wtem weszła żona przyjaciela. Uklękłem przed młodą panną i pocałowałem ją w prawy policzek. — A, to tak! — usłyszałem z tyłu głos przyjaciela. Zaprosiłem cię nie po to, żebyś się ożenił z moją żoną! — I podał mi swoją wizytówkę. — Na czym pan woli — zapytałem — na szpadach **czy na** pistoletach?

Nazajutrz odbył się pojedynek. Podnosiłem pistolet, gdy przyjaciel wystrzelił pierwszy i upadłem z kulą w sercu. Co roku o tej samej porze piękna kobieta w żałobie składa na moim grobie wiązankę róż".

— Jak to ci się podoba? — to ojciec do matki, rzadko był tak wzburzony — W zasadzie nie kłamie, bo tej niedorzeczności nikt innych nie mógłby napisać. Czy on czasem nie ma wody w mózgu? Przecież to kompletna bzdura! Zaraz mu to udowodnię. — Tu ojciec potrząsnął przed nosem chłopca zeszytem. — Powinieneś przede wszystkim wiedzieć, że umarli nie piszą nonsensów. A zanim w ogóle zaczniesz cokolwiek pisać, musisz zrozumieć, że mężatki nie są pannami.

Chłopiec milczał z pobłażliwym uśmiechem. Nie chciał drażnić ojca. Było jasne, że już wtedy nie mieli wspólnego języka.

3.

Po pierwszym nieporozumieniu krył się, ale nie mógł się jeszcze wyrzec. I coś zawsze podsycało: z początku lektura, potem praca u znajomego księgarza. Właściwie stąd ta praca i zaniedbane studia. Naturalnie, że były trudności — śmierć ojca, choroby matki, jednak przy uporze można było się uczyć dalej. Książki rozgrzeszały bierność, mamiło ich milczenie: skondensowane, nasycone treścią czasu. Chętnie pozostawał pod jakimś pretekstem — wieczorami lub w święta — sam w sklepie. Połączonym z biurem — „redakcją", bo księgarz był trochę i wydawcą. Nowości leżały zawsze tam, na jego biurku. Może miał zamiar przeglądania, czytania na wyrywki — tkwił tylko, sparaliżowany milczeniem. Wiedział, że jest pozorne. W rzeczywistości — „rządziło życiem".

W regałach stały ciasno, naładowane stężoną myślą. Dziwne i niepowtarzalne. Podobno żyły na rękach u ludzi też się nie powtarzają. Czaszki, z których się wylęgały, dawno próchnieją w grobach. Tylko pomyśleć, że każdy z nich żył, aby stworzyć jedną — dwie formułki, w rodzaju formuł chemicznych reakcji, zmieniających świat. Właściwie nie tyle sam świat, ile nasze spojrzenie na świat, ale to w istocie się pokrywa. Na przykład ten „pijak słońca wieczny", niezapomniane „proszę cię, duszo moja, bądźże mi szalona". Lub: „śnię i czuję, jak się tom historii zmarmurza" — i to nawet już nie powiedziane, lecz wyrzeźbione! A to „zwierciadlaność pochodzi z słońca i jedynie dno ma ojczyste"!... Warto napisać kilkanaście tomów, aby z nich pozostało jedno podobne zdanie!

Drugą przynętą, może silniejszą, była bliskość współczesnych odkrywców tych formuł. Pewną — nikłą wprawdzie, a jednak! — styczność z nimi ułatwiał również księgarz. Dostawał od któregoś ze swoich klientów bilety na premiery teatralne i nie zawsze korzystał. Zdarzyło się, że sięgał po karnecik z zaproszeniem, oparty o kałamarz na jego biurku, aby odstąpić. Miał w sobie coś z patronów-mecenasów i robił takie „gesty" nie bez lubości. Wtedy obdarzony odprasowywałem starannie przez wilgotną ścierkę swoje spodnie (aby nie błyszczały na siedzeniu), a wieczorem wchodziłem na widownię, która była właściwie dla mnie sceną. W czasie przedstawienia czułem również obecność tych „niepowtarzalności", niezupełnie dla mnie realnych, a mimo to — siedzieli jak ja, tylko o rząd czy dwa bliżej aktorów, w tym samym polu widzenia! I raz w czasie przerwy, przy wyjściu do foyer, laureat trzech nagród (portrety obiegły wszystkie pisma i stały na wystawach księgarń), o głowę wyższy i z pewnością o tuszy dwa razy większej — nadepnął mi na nogę. Poczułem satysfakcję, ponieważ ból w stopie stał się dowodem materialnego istnienia dotąd mało realnej postaci.

Wiedziałem, że księgarz obserwuje. „Knując" coś nowego, zawsze miał podstępny, pokpiwający uśmieszek. Raz poprosił do siebie, siedział w swojej komórce — „redakcji" i ważył w ręku książkę.

— Zaniesiesz to do... (tu nazwisko, które zaskoczyło). Dzwoniłem i czekam. Umówione trzy dzwonki. I nie trzeba tak się bać. Wszyscy są ostatecznie z tego samego ciasta.

Jednak to było wtedy bóswo. Nigdy nie widziane, bo nie przychodziło na premiery teatralne. Choć mieszkało w zwykłej kamieniczce. Zbierało — to wiedziałem — takie książki: nie wytrzymałem i w drodze otworzyłem — jakieś pierwodruki, łaciński traktat o incubach i succubach. Z tym większym zmieszaniem stanąłem przed drzwiami z zastraszającym napisem. Nacisnąłem dzwonek — cisza. Szum tylko w uszach — z podniecenia lub z powodu schodów. Potem, gdy wciąż trzymałem palec naciskając — nagle wyraźny dzwonek. Przeraziłem się, lecz już otworzył. Sam. Znałem portrety z jego książek — w cieniu przedpokoju jeden z nich jakby ożył oczami. Głowa przechylona trochę na bok i w ogóle — coś z wielkiego ptaka. Książka wpadła do jego rąk — kościstych, pochwycających niecierpliwie. Przez drzwi do mieszkania nie pokój — tylko same książki, zakrywające ściany aż pod sufit.

Dopiero na ulicy można było pozbierać wrażenia. Dawka oszalamiająca i nawet już nie pobudzała. Tak bywa, gdy wzór przerasta nie tylko nasze możliwości, lecz i ambicje. Później onieśmielenie zastąpiły powątpiewania — niezupełnie własne. Bo znalazł się teoretyk: pokątny bukinista, przekupień, właśnie dostawca białych kruków. Częste jego wizyty u księgarza, z czasem zaprzyjaźniliśmy się. Taka charakterystyczna postać: rozepchana książkami, podarte kieszenie płaszcza, popękaną z brudu czy odmrożenia ręką wyciąga sto siedemdziesięcioletni, „oświały" tomik:

— A co? Nie, nie, z daleka! Tylko z daleka! Ręce przy sobie! Proszę: **Samochwał albo amant wilkołak, komedia przerobiona pana Szekspira.** Czystej wody Dufour! A jeśli łaska wstąpić do mej celki, pokażę coś takiego, że oczko zbieleje.

Ale to było raczej smutne: pokoik na dziewiątym piętrze. Rzeczywiście — celka! Korytarz, szereg jednakowych drzwi, wewnątrz jeszcze ciemniej — półmrok. Nawet okno lecz nigdy nie myte, zbrązowiałe z brudu, a na parapecie do połowy szyb stos książek, grubo zakorzony. Na podłodze komplety „Tygodnika Ilustrowanego". Pod szkieletem łóżka — beletrystyka, czyli — jak mówił — „tak zwana brzydka". Nie palono tu nigdy i gospodarz pół leży na łóżku w jesionce, z podniesionym kołnierzem. Ręce w kieszeniach, noga na nogę, tak że dobrze widać postrzępiony, zbutwiały brzeg nogawki. W tej pozycji najchętniej rozprawiał.

— Wierzysz jeszcze w te papierowe wielkości? Kupa kłamstw i obłudy! Czuję się w tym grobie, jak pluskwa rozgnieciona między kartkami książki. Znajdzie się krytyk-kumpel, to wypisze szyldzik z laurką i uwierzą wszyscy nie sprawdzając, a przyjrzyj się naprawdę, to odkryjesz mumię. Niedawno zaprosił mnie pewien adwokat, mówi: „urządzam gabinet i muszę mieć bibliotekę, ale głównie zależy mi na oprawach, żeby ładne i jednej wielkości". Myślałeś może, że to — mądrość, doznania, wysiłek, a okazuje się, że najważniejsza w książce — okładka. Lubię przynajmniej szczerość!

To przekonywało, choć i wtedy jeszcze nie decydowało. Zadecydowało nieporozumienie — z księgarzem. Wówczas zamknął się okres niewydarzonych ambicji, przegranych nadziei, powoli i do reszty zbadanych własnych, nikłych możliwości!

Tymczasem książki wyrastały: tym razem po prostu jako — towar. Bukinista się odnalazł po pierwszych bombardowaniach: przypadek, spotkanie na ulicy i już razem do końca wojny. Wózek stał zwykle w którejś bramie głównej ulicy. Podchodzili i proponowali swój „towar". Inni po to, żeby kupić. I musiałem zmienić zdanie, bo dobrze, że książek jest dużo, że są na różne gusty i żadna z nich na nadaje się na ostatnią!

4.

To miało być wyrazem wdzięczności dla księgarza — podczas jego nieobecności uporządkowanie półek z książkami. Prawie miesiąc nie przespanych nocy. Gdy wrócił i wszedł do księgarni, z początku nie zauważył. Była to chwila denerwującego wyczekiwania radości. Zamiast tego doszedł stłumiony krzyk („kto to ruszał!"). Zamknął się w swej „redakcji". Po jakimś czasie poprosił do siebie. Już było jasne, że zaszło nieporozumienie. A właściwie — katastrofa.

Nie patrząc powiedział:

— To pana sprawka. Rozumiem. A te książki ustawiał jeszcze mój ojciec! Panu z pewnością się wydawało, że stoją bez ładu? Pan nie wie, że to przywiązanie ustala porządek. Pan w ogóle nie wie, co to jest przywiązanie. Pan mnie kosztuje zbyt dużo zdrowia. Ma pan do końca miesiąca i proszę więcej tu się nie trudzić.

Roztrzęsionymi palcami wyrzucał na stół pieniądze. Tak się to urwało. Może najsilniejszy cios. Wchodziła w grę także matka, która już prawie nie wstawała. Z książką skojarzyło się najgorsze. To już była obsesja. Później, gdy książkami się handlowało, dawało to nawet satysfakcję. Wyciągane z ruin, przesiąknięte dymem i pyłem, straciły swoją rangę. Nie wytrzymały czasu. Jedyną wartość pozostawiał im jeszcze strach, w którym się żyło wtedy. Wartość chwilowego odwrócenia uwagi od tego co się działo naokoło. To jeszcze stanowiło o wartości przy kupnie i sprzedaży. „A czy to zajmujące?" — pytał niezdecydowanie przechodzień. „Zatyka dech — zachęcał bukinista, wycierając towar o swoją jesionkę z tyłu. — Miłosne utrapienia kupca zakochanego w arystokratce"...

*) Powieść Leona Gomolickiego pt. „Wyłączenie" ukaże się wkrótce nakładem Wyd. Łódzkiego.

Korespondencje

Dalszy ciąg ze str. 7

zwróciłam się do Pana Redaktora ponieważ pan Rymkiewicz wydał mi się tak wysoko ponad tym wszystkim o czym pisał w swoich recenzjach, iż obawiałam się, że głos z tak niska, z „mas" nie dotrze do niego, a jeśli nawet dotrze nie będzie zrozumiany ponieważ pochodzi z innej płaszczyzny — z płaszczyzny odczuć.

Poza tym chciałabym przy okazji zapytać dlaczego u nas drukuje się takie dziwne recenzje, takie subiektywne, takie „niecomylne", a czasem takie złośliwe? Dlaczego na tematy teatralne zabierają głos tylko tzw. znawcy? Dlaczego nie daje się głosu przeciętnym widzom? Czy nie byłoby słusznym formowanie recenzji na podstawie wielu różnych wypowiedzi? A może na drodze ankietowej? Czy nie warto by się postarać o to, żeby ocena była obiektywna i reprezentatywna? Wtedy byłaby zbliżona do opinii publicznej.

Łączę serdeczne wyrazy szacunku i życzenia możliwości oglądania dobrych wesołych sztuk.

KRYSTYNA MALINOWSKA

Drukujemy powyższy list w całości, pragniemy wszakże wyjaśnić, że nie jesteśmy zdania, aby w miejsce recenzji fachowców można było drukować quasi recenzje każdego, kto sztukę ogląda. Rzecz nie polega na pokazywaniu gustów, niekiedy wątpliwych, ale na ich kształtowaniu. Co innego badanie opinii o sztukach, chociażby ankietowe. Wyniki takich badań mogłby być istotnie pożyteczne i prowadzić do cennych uogólnień.

Konkurs z okazji XX rocznicy PPR

REGULAMIN

konkursu na opowiadanie o tematyce związanej z działalnością PPR, ZWM, Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, organizowanego przez Komitet Łódzki ZMS i redakcję „Dziennika Łódzkiego"

1. Konkurs organizowany jest z okazji 20 rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej.

2. Celem konkursu jest przypomnienie i ujawnienie wydarzeń, związanych z powstaniem, działalnością i walką PPR w okresie od jej założenia do Kongresu Zjednoczeniowego w grudniu 1948 r. Dotyczy to także działalności Związku Walki Młodych, Gwardii Ludowej i Armii Ludowej.

3. Opowiadanie powinno być osnute na tle autentycznego wydarzenia, bohatera, faktu z terenu Łodzi i ziemi łódzkiej, jak również z innych terenów Polski.

4. Konkurs jest otwarty, dostępny dla wszystkich. Szczególnie pożądany jest udział członków PPR i ZWM, żołnierzy GL i AL, naocznych świadków wydarzeń, środowisk twórczych oraz szerokich rzesz młodzieży, dla której udział w konkursie powinien stać się znakomitą okazją do bliższego, źródłowego poznania dziejów partii i organizacji młodzieżowej.

5. Najlepsze prace zostaną opublikowane na łamach „Dziennika Łódzkiego" i będą honorowane zgodnie z obowiązującymi stawkami. Organizatorzy zastrzegają sobie swobodę wyboru prac do druku, niezależnie od decyzji jury.

6. Prace konkursowe o objętości do 20 stron maszynopisu z podwójnym odstępem, należy przesyłać w kopertach opatrzonych godłem na adres redakcji „Dziennika Łódzkiego", Łódź, ul. Piotrkowska 96 z napisem „Konkurs na opowiadanie".

7. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15 marca 1962 roku. Zgłaszane mogą być tylko prace dotychczas nie publikowane.

8. Ustala się następujące nagrody:

I nagroda w wysokości 4 tys. zł

II nagroda w wysokości 3 tys. zł

III nagroda w wysokości 2,5 tys. zł

oraz wyróżnienia.

Ostateczna decyzja co do ilości i wysokości nagród oraz wyróżnień należeć będzie do jury konkursu i zapadnie po zapoznaniu się ze wszystkimi zgłoszonymi pracami.

9. Lista fundatorów nagród zostanie opublikowana.

10. Szczegółowych informacji i wyjaśnień udzielają: Wydział Propagandy Komitetu Łódzkiego ZMS, Łódź, ul. Piotrkowska 262, tel. 400-40 oraz redakcja „Dziennika Łódzkiego"

KOMITET ORGANIZACYJNY

„Porozmawiajmy"

Kierunki ofensywy

Wszranki przeciwko dyrektorowi ŁOT Władysławowi Orłowskiemu, wstąpił — oczywiście reprezentując barwy telewidzów — redaktor naczelny „Odgłosów" Wiesław Jażdżyński. I tradycyjnie nudne „Porozmawiajmy" nabrało natychmiast — co stwierdzamy

gwoli prawdy, a nie dla niskiego lizusostwa — pełnych rumieńców, przestało być grzecznym stawianiem pytań na obojętny temat, a zamieniło w prawdziwą dyskusję z jej wszystkimi konsekwencjami.

Reprezentant telewidzów był — jeżeli tak rzec można — w stałym natarciu, niejednokrotnie przypierał rozmówcę do muru, w konsekwencji doprowadzając zresztą do kilku konkretnych ustaleń.

Punktem wyjścia stał się list jednego z telewidzów, który pochlebnie oceniając „Szopkę łódzką" domagał się od łódzkiego ośrodka „usztywnienia kręgosłupa" i większego usamodzielnienia się od Warszawy.

A na to Pan Smok, przepraszam, dyrektor Orłowski, odpowiedział — i nie bez racji — że ambicją łódzkiego ośrodka jest coraz to pełniejsze i częstsze wchodzenie na antenę ogólnopolską, a co za tym idzie przygotowywanie audycji — niechby i o tematyce lokalnej — które potrafią zainteresować szeroki krąg odbiorców.

Tu wyliczył, co czeka nas w najbliższym półroczu.

Przede wszystkim powierzono Łodzi stałe przygotowywanie premier Teatru Popularnego, teatru przeznaczonego dla najbardziej masowego widza. Zadanie ambitne, niewątpliwie nader zobowiązujące ŁOT.

Będą też szły z Łodzi „Estrada Poetycka i Estrada Literacka", będą dwie łódzkie „Kobry", mamy „Klaps", mamy stały koncert rozrywkowy „Muzyka lekka — łatwa i przyjemna".

Red. Jażdżyński westchnąwszy sobie przy „Kobrach" i bez entuzjazmu zauważywszy, że „Klaps" nawet jeśli bywa klopsem niewątpliwie interesuje telewidzów... dodał zaraz, iż my

to wszystko właściwie już wiemy. I że chodzi mu raczej o audycje publicystyczne, powiedzmy problemowe, o reportaże, o jakąś ingerencję telewizji w życie miasta i przekazywanie obrazu tego życia.

— Cóż może reporter — odparł dyr. Orłowski — mając do dyspozycji kilkadziesiąt metrów niemej taśmy, parę zdjęć i prawo napisania komentarza? Niby z Warszawy do Łodzi jest niedaleko, niby wóz może dojeżdżać, a praktycznie to nie tylko na transmisje teatralne, ale nawet na mecz bokserski ze Szkocją z trudem możemy się go doprosić.

Tak, logiczną rzeczy koleją, dyskusja zeszła początkowo na pewne niedostatki w zaopatrzeniu łódzkiego ośrodka, a następnie na brak w Łodzi jakiejś inicjatywy społecznej, oczywiście inicjatywy zorganizowanej, która by starała się zaradzić różnym telewizyjnym kłopotom, podobnie zresztą jak dzieje się to w innych województwach.

— Bo choćby Śląsk — red. Jażdżyński zacytował kolejny list — ma już program poranny, a Łódź, mimo że włókniarze również pracują na trzy zmiany, niestety nie. A przecież oni także pragną rozrywki, niezależnie od tego, na jakiej zmianie pracują.

Ta kwestia okazała się cokolwiek delikatną — prawda, Śląsk ma więcej telewizorów, prawda, górniczy ludek wcześniej zaopatrzył się w cudowne skrzyneczki niż ludek włókniarski, ale co i jak z tym porannym programem będzie, tego tośmy się już nie dowiedzieli.

Na koniec przedstawiono nam podstawowy problem jakiemu poświęcone zostanie przyszłe spotkanie: problem

różnorodnych gustów widza i możliwości zaspokajania tych gustów.

Rozmowa na ten temat odbędzie się dokładnie za trzy tygodnie licząc od dnia dzisiejszego. Czekamy na nią z prawdziwą niecierpliwością.

(CZ)

TELEwizja

„MUZYKA DLA CIEBIE"

i perspektywy Łódzkiej Opery

Telewizja poznańska obchodziła niedawno skromny jubileusz dziesiątej z kolei niedzielnej audycji z cyklu „Muzyka dla ciebie". To interesująca audycja. Interesująca i pożyteczna.

Wiemy doskonale, że nasze społeczeństwo nie odznacza się nazbyt wyrafinowaną kulturą muzyczną; nawet wręcz przeciwnie. Wiemy, że filharmonie odwiedza dość wąski krąg słuchaczy, że programy muzyczne polskiego radia — pod naciskiem gustów odbiorców — muszą

Paulos Raptis — popularny śpiewak operowy

faworyzować muzykę lekką, czy po prostu taneczną i tak dalej, i tak dalej. Programy poznańskie, przeplatane oszczędną konferansjerką, obok niewielkich form muzyki symfonicznej dające miejsce wokalistyce czy baletowi, niewątpliwie spełniają tedy istotną rolę popularyzatorską. Bo ja wiem, być może również i fakt, że dźwięk połączony jest tu bądź co bądź z wizją, że widzimy i orkiestrę i dyrygenta, a niekiedy muzyka znajduje swój plastyczny i ruchowy odpowiednik właśnie w tańcu — może ten fakt dodatkowo zachęca telewidza do obcowania z muzyką bardziej na co dzień, aż po jakąś nieśmiałą pierwszą wizytę w sali koncertowej.

Tyle o pożytkach poznańskiego cyklu, a że w dodatku audycje te są z reguły interesująco zakomponowane i nader różnorodne, przeto można je chyba zupełnie śmiało wpisać po dodatniej stronie bilansu naszej telewizji.

Ale jeżeli już mowa o bilansie, to przyznać się muszę, że od czasu opublikowania przez Edwarda Szustra właśnie na łamach „Odgłosów" jakiegoś „przyszłego bilansu widza Teatru Narodowego" — miewam koszmarne sny. Straszy mnie widmowo pustawa sala reprezentacyjnego gmachu, który przecie koniec końców otworzy swoje podwoje. A z kilku nieskomplikowanych działań matematycznych, jakie autor we wspomnianym artykule wykonał, wynika niezbicie, że będzie nam brakowało jakieś 200 tysięcy widzów w skali rocznej do wcale nie zawyżonej, bo 70 proc. wynoszącej średniej frekwencji na spektaklu.

I tu — naturalną rzeczy koleją — nasuwa się pytanie, czy telewizja, właśnie ona, nie może czegoś zrobić dla przyszłej Opery? Czy nie może jakoś jej „zaprotegować" wobec szerokiej rzeszy odbiorców; i operę jako gatunek i Operę Łódzką, jako instytucję.

Oczywiście — każdy szerzej i ambitniej pomyślany cykl audycji łatwiej planować w skali ogólnopolskiej, z drugiej strony jednak właśnie Łódź czeka wyjątkowo silny wstrząs związany z nagłym zwiększeniem się globalnej ilości krzeseł teatralnych (pamiętajmy, że obok Teatru Narodowego rośnie również gmach Operetki przy ul. Północnej!...), właśnie Łódź jest szczególnie zainteresowana w zdobyciu nowego odbiorcy. I to przede wszystkim operowego.

Bądźmy jednak realistami — jeżeli jakikolwiek cykl audycji zechcemy z kolei planować w programie lokalnym, to na przeszkodzie nieodwołalnie staną szczupłe fundusze; dlatego też dobra wola musi być dwustronna. A dobra wola ludzi ŁOT z jednej i ludzi Opery Łódzkiej z drugiej może sprawić jeżeli nie zaraz cuda, to przynajmniej jakiś postęp w dziedzinie popularyzacji opery. Boję się bowiem szczerze, że budując gmach, myślimy dotąd o przyszłym widzu. A jak wiemy z historii teatr obywał się czasem bez gmachu, obywał się bez licznych etatów aktorskich, natomiast bez widza nie obywał się nigdy...

J. PANASEWICZ

W KINIE KRÓTKICH FILMÓW - pozycje z dziedziny sztuki

Nie pierwszy już raz — i jak dotąd z pełną satysfakcją — przychodzi nam pisać o działalności telewizyjnej Kina Krótkich Filmów prowadzonego przez Bolesława Michałka.

Przed dwoma tygodniami rozpoczęło ono cykl wieczorów poświęconych filmom popularyzującym dzieła sztuki — na pierwszy ogień poszły trzy pozycje o charakterze poniekąd anegdotycznym, między innymi kapitalna kreskówka rumuńska „Siedem sztuk", wczoraj oglądaliśmy filmy z dziedziny muzyki, w perspektywie jest plastyka i architektura.

Zwracając uwagę na nowy cykl, wypada może powtórzyć krótką motywację takiego właśnie wyboru. — Na całym świecie — powiada red. Michałek — powstają dziesiątki filmów poświęconych popularyzacji sztuki. Dzieje się tak może również i dlatego, że sztuka współczesna nader często rozchodzi się z gustami odbiorców, że wydaje się dla nich niezrozumiałą. Toteż film odwołujący się do milionów widzów może bardzo wiele zrobić dla popularyzacji innych dziedzin sztuki...

My byśmy kupili

Fot. U. Rolka

Jeżeli już nadchodzi dzień tak radosny, że Łodzi powierza się przygotowanie koncertu rozrywkowego, to oczywiście zaaferowany reżyser zaczyna rozglądać się po całej Polsce, kogo by tu i za jakie pieniądze na ów koncercik zakupić.

A tymczasem — wbrew pozorom — również i na łódzkiej estradzie rodzi się czasem coś niezgorszego. Reżyser telewizyjny Janusz Rzeszewski byłby co prawda w niezręcznej sytuacji zapewniając, że w przygotowanym przez niego w PPIE „Estrada" programie „Zaproszenie do walca" są rzeczy wcale udane — wyręczamy go jednak z przyjemnością, donosząc że kilka pozycji bez wahania „kupilibyśmy" dla telewizji.

Na przykład doprawdy dowcipne mambo ze słowami *Andrzeja Dołęgowskiego*, w którym (patrz zdjęcie) widzimy *Hannę Rutkowską* i *Leszka Redo*.

Kolejna „Kobra"

„Imieniny sędziego Bersza"

Tak tedy Poznań nadał sensacyjne widowisko pióra Jerzego Waldena zatytułowane „Imieniny sędziego Bersza". Odbiór był co prawda podły, aktorzy „haftowali tekst" *) w sposób niemiłosierny, reżyser także wyczerpał swoją inwencję na czołówce filmowej, którą dokręcił i doczepił jedynie po to, aby trudniej było zgadnąć — mimo to bezpretensjonalna i oparta na niezgorszym pomyśle rzecz mogła się podobać. Co aż dziwne.

*) Przez „haftowanie tekstu" rozumie się w języku aktorskim uzupełnianie go własnymi wstawkami, ewentualnie aż do chwili kiedy to sufler podrzuci kwestię. Gdyby aktorów poznańskich zastąpić kwalifikowanymi hafciarkami, mogłyby one łacno uporać się w czasie widowiska z wyprawową bielizną Gabrysi-morderczyni.

Szkoły śląskie bogate w telewizory

Jak doniosła „Trybuna Ludu" zaledwie 100 szkół województwa katowickiego nie posiada dotąd telewizorów: zainicjowana została zresztą akcja pod nazwą „100 telewizorów", która jeszcze w roku bieżącym powinna uzupełnić braki.

W naszym województwie sytuacja nie wygląda niestety tak różowo.

EDYTKA...

„Wojtczak, jedna z najmilszych spikerek TV.

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 8. II. 62 R.

10.00 Program dla szkół: (dla klas V—VII) Język polski. Cykl: „O miejsce wśród ludzi". Temat: „Był chłopiec..." (W). 10.30—16.45 Przerwa. 16.45 Program dnia (Ł). 16.50 Program dla dzieci starszych: „Twoje książki" (W). 17.20 „Muzy nad słoną wodą" — progr. publicystyczny (Gdańsk). 17.50 „Poletko Pana Polaka" — program z cyklu: „O wsi dla wszystkich" (Łódź ogólnop.). 18.25 „Mieczysław Karłowicz" — program z cyklu: „Sylwetki kompozytorów" — (Poznań). 18.50 Młodzieżowe Studio Poetyckie „Lud wejdzie do śródmieścia" — wiersze rewolucyjne w adaptacji Jana Zalewskiego. Reżyseria Andrzej Konic (W). 19.20 PKF (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (z Warszawy i Katowic) (W, i Kat.). 20.05 „Sądy jakich nie znamy" — reportaż Tadeusza Kolińskiego (W). 20.40 Teatr Kobra „Bez świadków" wg Antony Armstronga i Harald Simpsona. Reżyseria — Józef Słotwiński (W). 21.40 „Do rodziców i wychowawców" — red. St. Manturzewski (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 9. II. 62 R.

16.45 Program dnia i tygodnia (Ł). 17.00 Program tygodnia (W). 17.20 „Spojrzenia i opinie" (Ł). 17.30 „Przez obiektyw Pierrota" — widowisko cyrkowe (Poznań). 18.20 „Znak Zorro" — film — odc. XI produkcji USA (W). 18.55 „Ultrasi" — program publicystyczny Andrzeja Kamińskiego (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Wszechnica Telewizyjna „Ernest Rutherford" — program z cyklu: „Człowiek i jego dzieło" (W). 20.35 „Jak zabawa to zabawa" — program rozrywkowy — instruktaż na wesoło (W). 20.55 „Dzień ostatni dzień pierwszy" — film fabularny prod. radzieckiej (dozw. dla młodzieży) (W). 22.12 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 10. II. 62 R.

11.00 Program dla szkół: (dla kl. VI) Geografia. Cykl: „Poznaj swój kraj". Temat: „W krainie tysiąca jezior" (W). 11.30 Przerwa. 17.10 Program dnia (Ł). 17.15 Miś z okienka (W). 17.30 „Nowa atrakcja" — film fab. prod. radz. dla dzieci (W). 19.00 PKF (W). 19.10 Wolne ręce (Łódź lokaln.). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Telekluby" — Utopia czy rzeczywistość — program publ. (W). 20.30 „Krwawa vendetta" — film fab. prod. franc. dozw. od lat 16 (W). 22.15 Ostatnie wiadomości (W). 22.20 „Tingel — Tangel" program rozrywkowy (W).

„DOWCIPNIŚ" czy MANIAK?

Niejaki Alfred Sancewicz zamieszkały w Rudzie Śląskiej przy ul. Pięknej 11/3 zwrócił się listownie do DRN Łódź-Śródmieście o przesłanie mu odpisu aktu urodzenia. Po sprawdzeniu okazało się, że w kartotece archiwum DRN brak dokumentów człowieka o tym nazwisku. Odpisano grzecznie panu S., że „nie figuruje".

Pan S. napisał powtórnie, oburzając się na bałagan, który jego zdaniem panuje w DRN. Podał przy tym sygnaturę swoich akt (2642/52/PS/1937/9229/III) i stwierdził, że pobierał już odpisy czterokrotnie — w 1954, 1955, 1957 i 1958 roku.

Jeśli tak — pomyślano sobie w DRN — poszukamy powtórnie. Szukano wśród dwu milionów akt bezskutecznie przez 10 dni. Wreszcie kierownik Urzędu, studiując zestaw cyfr w podanej przez pana S. sygnaturze, nabrał przypuszczenia, że metryka petenta była wystawiona i spoczywa w Poznaniu. Korespondencja z archiwum poznańskim potwierdziła przypuszczenie.

„Dowcipn'ś" czy maniak? — zastanawiaja sie w DRN. Jego wybryk kosztował 10 dni pracy 8 urzedniczek. I nie wiedzą w DRN, co z tym fantem zrobić.

A my proponujemy: „bimbającego" petenta powołać przed oblicze Kolegium Orzekającego.

ODGŁOSY tygodnia

Smutne ale prawdziwe

czyli

na co umierają łodzianie

W tak wielkim skupisku ludności, jakim jest Łódź, każdego miesiąca notuje się około 500 zgonów. W roku 1958 umarło w Łodzi 5505 mieszkańców.

Tylko w 378 przypadkach przyczyna zgonu była naturalna, oczywista — uwiąd starczy.

Jakie są inne przyczyny?

200 osób zginęło śmiercią gwałtowną — wypadek, zabójstwo, samobójstwo, itp. 202 noworodków umarło na skutek przedwczesnego porodu. Powodem śmierci pozostałych były choroby.

Wśród nich — pierwsze miejsce zajmują choroby narządów krążenia (1511 przypadków, w tym samo zapalenie mięśnia sercowego — 516). W stosunku do lat poprzednich obserwuje się jednak spadek ilości zgonów z tej przyczyny.

Natomiast liczba zgonów z powodu nowotworów w pewnym stopniu wzrasta (od 917 w roku 1957 do 927 w następnym). Trzecia dość „powszednia" przyczyna, to choroby układu nerwowego (513 przypadków, w tym udar mózgu — 436), a czwarta — choroby narządów trawienia.

Tak — wydawać by się mogło — błaha choroba, jak zapalenie płuc zabrała 283 osoby, zaś gruźlica 330 osób. W roku poprzednim jednak liczba zgonów na zapalenie płuc była niemal dwukrotnie większa, a na gruźlicę — również nieco większa.

Wbrew utartym poglądom, tylko choroby płuc raczej „oszczędzają" kobiety. Natomiast na płeć słabą przypada około 60 procent zgonów na raka i jeszcze więcej — na udar serca. Oczywiście, musimy pamiętać, że w Łodzi przypada 120 kobiet na 100 mężczyzn, co w pewien sposób tłumaczy ten stosunek. Poza tym jednak kobiety wydają się być znacznie bardziej odporne na choroby, trzy czwarte przypadków zgonu z powodu uwiądu starczego dotyczy właśnie ich. Bardzo niewielu mężczyznom udaje się dożyć późnej starości.

Publikujemy te niewesołe dane z myślą, by przestrzec przed lekceważeniem nawet pozornie niegroźnych chorób, które mogą jednak być tak nieszczęśliwe w skutkach, jak wykazuje statystyka.

Na pocieszenie dodajmy, że w stosunku do roku poprzedniego, liczba zgonów w roku 1958 była mniejsza o 750. Nie jest to wynik przypadku, lecz efekt widocznej, stałej tendencji spadkowej i stałego przedłużania się przeciętnej długości życia ludzkiego.

Wspomnijmy też, że dane z roku 1958 są najnowszymi z opracowanych, gdyż sporządzenie statystyki zgonów trwa bardzo długo i jest niezwykle pracochłonne.

Inicjatywa w Radomsku

Przyjechał do Radomska i od razu stwierdził, że tu kryją się olbrzymie możliwości dla jego inicjatyw. Z władzami miejscowymi nie było specjalnego kłopotu. Inicjatywę przyjęli entuzjastycznie. Pomogli powołać społeczny komitet. Dali pozwolenie na pieczątkę. Ustalono napis: SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY RETRANSMISYJNEJ STACJI TELEWIZJI I RADOMSZCZAŃSKIEGO OŚRODKA KLUBOWEGO FILMU, RADIA i TELEWIZJI w Radomsku: Sami przyznacie, że inicjatywa piękna, pożyteczna i na pewno potrzebna. Jednym słowem duża rzecz! Ale nas, ludzi podejrzliwych zastanawiają dwie sprawy:

— *pierwsza — dlaczego w oficjalnym piśmie tej potrzebnej, pożytecznej i niewątpliwie kulturalnej placówki widnieje takie oto zdanie: „Konieczność jakie korzyści da takowy Ośrodek kulturalny, myślimy że każdy członek ZMW jest zorientowany i z dużym udziałem wspierającym fundusz społeczny wniesie swój udział w postaci dobrowolnej składki.*

— *druga — dlaczego „cegiełki" tego społecznego komitetu o wartości 5 i 10 zł nie posiadają żadnych numerów i są jedynie wierną kopią gumowej pieczątki z odpowiednim napisem?*

W domu trzeba odpoczywać

Na ostatnim Plenum KŁ PZPR sprecyzowano ostatecznie zasady polityki mieszkaniowej w Łodzi. Wiadomo, znikną wreszcie poddasza, sutereny, klitki, czy przybudówki jako pomieszczenia mieszkalne.

Przypomniano też kilka pikantnych przykładów urzędniczej mitręgi. Proszę sobie wyobrazić, że jeden z obywateli od roku prosi o remont okna i doprosić się nie może, natomiast pan Łęcki z ulicy Folwarcznej został przykładnie ukarany za samowolę. Przegniła mu ściana, zreperował więc ją sam, poprawił w ten sposób stan domu, ale zamiast podziękowania, otrzymał karę. Obywatel nie ma prawa reperować, obywatel powinien czekać na zmiłowanie Boże. A znowu na ul. Sienkiewicza wyremontowano dom kosztem blisko 2 mln zł, a następnie sprzedano za kilkadziesiąt tysięcy osobie prywatnej, gdyż dom przeznaczony był do rozbiórki.

Obok znanych i odnotowanych przez prasę, wysunięto kilka interesujących wniosków, nie omawianych dotąd szerzej. Ludzie niszczą nowe mieszkania, stwierdzono takie smutne fakty m. in. na Żubardziu, dlatego potrzebne jest zarządzenie o odpowiedzialności karnej za otrzymane mieszkanie. Wandale czynią zazwyczaj tak, że po zdewastowaniu jednego proszą natychmiast o drugie mieszkanie.

Warto też pomyśleć o możliwie dokładnym spisie mieszkań dużych, gdzie żyje ze sobą, jak pies z kotem, kilka rodzin. To też sprawa ważna, jak sutereny i poddasza, chodzi o oszczędzenie ludziom „nerwów", niepoczytalnych kłótni, krwawych nieraz wojen domowych. W domu trzeba odpoczywać.

Polityka kulturalna

Najpierw w „Dzienniku Łódzkim" M. J. grzmi o konieczności stworzenia w Łodzi przyjaznej atmosfery kulturalnej dla łódzkich twórców, potem M. J. wyszukuje w prasie polskiej co złośliwsze cytaty o łódzkich twórcach np. o J. M. Rymkiewiczu i opatruje je napastliwym komentarzem — patrz „Dziennik Łódzki" 31. I. 62 r. To się nazywa uprawiać konsekwentną i słuszną politykę kulturalną.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. Janusz Kupiecki

Małżeństwo a zdrowie psychiczne

Polskie Towarzystwo Higieny Psychicznej prowadzi już od dłuższego czasu cykl referatów poświęconych zagadnieniom współczesnego małżeństwa. Referaty wygłaszają specjaliści różnych nauk społecznych i medycznych. Pierwszy referat wygłosiła doc. Kłoskowska, która przedstawiła punkt widzenia socjologii na problematykę współczesnego małżeństwa. Następnie o problematyce psychologicznej współczesnego małżeństwa mówił prof. Stanisław Gorlsman. Ostatnio o higienie psychicznej współczesnego małżeństwa mówił psychiatra, prof. Kazimierz Dąbrowski. W lutym, na kolejnym zebraniu naukowym Towarzystwa o współczesnym małżeństwie będzie mówił ginekolog, prof. dr S. Krzysztoporski.

Żałujemy, że te tak ciekawe referaty pozostają nieznane szerszemu ogółowi. Naszym zdaniem warto byłoby pomyśleć o cyklu podobnych odczytów, może bardziej popularnych, przeznaczonych dla szerszego grona słuchaczy.

Telepatia w sportowym wydaniu

Siła marzeń jest ogromna. Jeśli nie w rzeczywistości, to na pewno zawsze mogą się one ziścić... na papierze.

Klasycznego przykładu w tym względzie dostarczył nam występ łódzkiej „Unii" w turnieju piłki wodnej o puchar Polskiego Związku Pływackiego.

Unia walczyła na julianowskim basenie z wrocławską drużyną PaFaWag. W wodzie się nie udało w gazetach — tak.

„Głos Robotniczy", „Przegląd Sportowy", a dzień potem i „Dziennik Łódzki", doniosły o zwycięstwie. Wbrew oczywistym faktom, okazało się, że zwyciężyli ci, co przegrali.

Widać autorytet wieku i powaga swoje robi. W drużynie Unii grają bowiem doświadczeni, poważni „oldboye", żonaci, poniektórzy „dzieciaci" pracujący na odpowiedzialnych stanowiskach, koło 30-tki.

Wprawdzie złośliwi twierdzą, że każdy z nich w czasie meczu, modli się, aby doń piłki nie podali, że pod koniec gry „puchną" i „bańki nosem puszczają", ale nie umniejsza to w najmniejszym stopniu byłych zasług tych zawodników. A zasługi wiele mogą w naszym kraju... Mimo, że Unia przegrała różnicą jednej bramki z PaFaWagiem, w wymienionych wyżej gazetach „stało", że wygrała.

Unia po dramatycznej walce pokonała PaFaWag Wrocław 4:3, zdobywając bramki że strzałów: Lewickiego, Ziółkowskiego, Binieckiego i Jarniewicza" — doniósł „Głos". Jak marzyć to na całego.

Lewicki, b. dobry zawodnik strzelał ale z przeciwnej strony. Jest zawodnikiem PaFaWagu. Być może rzeczywiście lepiej byłoby, aby strzelał dla **Unii nie Unii.**

„Biniecki" natomiast to postać fikcyjna, w Unii gra Boniecki.

Dla podkreślenia zasług zasłużonych podało się jeszcze, iż „w przeciwieństwie do wszystkich innych startujących w Łodzi zespołów, drużyna Unii z powodu późnego przystosowania julianowskiego basenu do gry w piłkę wodną pozbawiona była niezbędnego treningu". Była — z wyboru. Unia wolała wybrać do treningu basen julianowski, niż — być może gorszy, ale cały czas dostępny, basen MDK — mówią kibice piłki wodnej.

Czyżby kumoterstwo dziennikarzy sportowych z zawodnikami zrealizowało (prasowo) marzenia Unii o victorii? Boże broń!!! Skądże! Oni się w ogóle nie znają. Żaden ze sprawozdawców nie był nawet na turnieju. To telepatia.

KOCIA „SWATKA"

Czego jak czego, ale smykałki w dorabianiu sobie naboczku można nam pozazdrościć. Ostatnią rewelacją z tej dziedziny jest pewna nieoficjalna, ale ciesząca się podobno dużym wzięciem, instytucja, której zadaniem jest — jak by tu powiedzieć — pośrednictwo w kojarzeniu małżeńskich par wśród kociej arystokracji.

Właściciele czworonożnych sjamczyków wiedzą, co mamy na myśli. Wiedzą i chyba w duchu błogosławią przedsiębiorczą właścicielkę owego przybytku. Gdyby bowiem nie ona nieszczęsne czworonogi skazane byłyby na wieczystą samotność, zaś ich właściciele na miłosne nocne serenady „wymiaukiwane" po nocach.

Kiedyś te wszystkie sprawy można było załatwiać za pośrednictwem łódzkiego ZOO. Od czasu jednak kiedy w ZOO zlikwidowano dział z kotami, tylko w prywatnej inicjatywie pozostało nam szukać ratunku.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 331 II A 6